Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 8 — Niedziela, dnia 20 lutego 1927 roku — Rok III-ci

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P. K. O. Nr. 53.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

LAURKA.

Przed trzeciem czytaniem i ostatecznem głosowaniem nad budżetem na rok gospodarczy 1927/28 zabrał głos wicepremjer profesor Bartel, aby odpowiedzieć na wszystkie zarzuty i krytyki, jakie padły w czasie obrad budżetowych z ław poselskich pod adresem rządu. I oto, gdy zdawało się, że wszystko spokojnie się kończy, że tym razem Sejm uchwali budżet bez wzniecania rumoru przesileniowego, mowa wicepremjera stała się pożądanym pretekstem do powtórzenia tej nudnej już zabawy.

Obrazili się wszyscy. Jednym nie podobała się cała mowa, innych do żywego poruszyły pewne tylko ustępy.

Według utartej recepty i zwyczaju, posiadającego już moc prawa w oczach Sejmu, przedstawiciel rządu powinien był w takiej chwili prosić o wyrozumiałość dla błędów, jakie rządowi wytknięto, apelować do wypróbowanych uczuć obywatelskich i patrjotyzmu posłów, podnosić ogrom ich zasług, jakie oddali państwu przez przygotowanie budżetu do ostatecznej uchwały. — W aktualnym wypadku Sejm miał prawo oczekiwać od p. Bartla podziękowania specjalnego za nastrój, jaki panował w czasie obrad, za wstrzemięźliwość w czynieniu zmian w projekcie rządowym i w stawianiu demagogicznych wniosków.

A tymczasem przedstawiciel rządu wygłosił przemówienie, które bardzo, ale to bardzo przypominało słynną mowę Marszałka Piłsudskiego na herbatce u p. Bartla w przeddzień Zgromadzenia Narodowego.

P. Bartel stwierdził, że od tego czasu nie nastąpiła poważniejsza poprawa, że Sejm nie wyzbył się swoich złych nałogów, że nadal niema partyj, które przyczyniałyby się do organizacji społeczeństwa i współpracy z państwem a ciągle jeszcze kwitnie partyjnictwo wybitnie geszefciarskie, siejące w społeczeństwie nienawiść i antagonizmy, że dlatego rząd nadal nie może uznawać obecnych partyj za wyrazicielki dążeń społeczeństwa, a Sejmu za wyraziciela woli społeczeństwa, powołanego do rządzenia państwem.

I dlatego p. Bartel ponowił niedwuznacznie wyrażone wówczas przez Marszałka Piłsudskiego żądanie należytej swobody ruchów i uniezależnienia władzy wykonawczej od „kapryśnej dowolności politycznych fluktuacyj sejmowych.

„Wy, szanowni panowie, róbcie tutaj, co się wam podoba, my z waszej pracy uznamy i przestrzegać będziemy tylko to, co w najlepszem naszem zrozumieniu będzie pożytecznem dla państwa — wszystko inne odrzucimy" — oto zasadniczy motyw mowy p. Bartla.

A Sejm na to: „Ano, zobaczymy!" I z miejsca lewicowe radykalne stronnictwa chłopskie kopnęły budżet jednym i drugim wnioskiem demagogicznym, wybijając w nim dziurę deficytową, inne znowu utrąciły jedno ministerstwo całe a w drugiem ministra. —Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu i czy p. Bartel taki mocny, jak udaje.

Ale gdy przyszło co do czego — gdy przyszło do zatwierdzenia w ostatecznej uchwale tych buńczucznych wniosków, jakoś nic z tego nie wyszło.

W chwili głosowania pojawił się w loży rządowej premjer Marszałek Piłsudski. W ręku trzymał „laurkę" — i budżet został uchwalony w granicach, zakreślonych przez rząd.

Nie trzeba było uderzenia w stół szpicrutą — „laurka", związana jedwabną wstążeczką, okazała się wystarczającą. I nie wiadomo nawet, czy nie był to czasem pusty papier lub prawdziwa laurka, ofiarowana Marszałkowi przez jakąś delegację, gdy siadał do samochodu, aby udać się do Sejmu.

* * *

CZY UKRYTA DYKTATURA?

Epizod, jaki rozegrał się na sali sejmowej w czasie ostatecznego głosowania nad budżetem, rzuca bardzo jasny snop światła na panujące u nas stosunki, tak jasny, że nawet półślepcy raz wreszcie mogą zobaczyć, co się u nas dzieje, w jakich warunkach żyjemy.

Uprzytomnijmy sobie tę scenę: Na jednem posiedzeniu sejmu nastrój pełen animuszu bojowego. „Już my rządowi pokażemy, co to znaczy pamiatać sejmem i nie uznawać jego woli!"

Jeden klub zgłasza wniosek o otwarcie dyskusji nad mową wicepremjera — Sejm wniosek przyjmuje prawie jednogłośnie. — „Damy mu cięgi — powiemy mu kilka słów do słuchu!"

Drugi klub zaczyna radzić nad ewent. postawieniem wniosku o votum nieufności dla wicepremjera, ale jakoś się nie klei.

Kilka klubów proponuje poczynienie zmian w budżecie, które niweczą jego równowagę — Sejm uchwala.

Z innej strony pada wniosek o nieuznanie stworzonego przez rząd ministerstwa poczt i telegrafów — i to się uchwala.

Wreszcie wniosek o skreślenie funduszów dyspozycyjnych ministra spraw wewnętrznych — uchwalono.

W pismach partyjnych radość. „Nawarzyliśmy bigosu — może rząd się nie otruje — ale, że się poparzy, to pewne. Na drugi raz będzie grzeczniejszy!"

Posiedzenie następne po dwóch dniach.

Przewodniczący: „Przystępujemy do głosowania nad ostatecznem brzmieniem budżetu".

W loży rządowej pojawia się Marszałek Piłsudski. W ręku trzyma jakiś papier zwinięty w rulon i przewiązany wstążeczką — „laurkę".

Głosowanie. Wniosków wojowniczych większość nie podtrzymuje, jeden po drugim upada. Budżet zostaje przyjęty w granicach dochodów i wydatków zakreślonych przez rząd, bez znaczniejszych zmian w poszczególnych pozycjach.

Na drugi i w następne dnie dowodzi się w organach partyjnych, że Sejm odniósł zwycięstwo nad rządem...

* * *

Mamy dyktaturę — ale dyktaturę nad Sejmem i Sejm dobrowolnie poddaje się tej dyktaturze. I nie jest to dyktatura przemocy, bo ani wojska nie konsygnuje się w okolicy sejmu, ani szpicrutą nikt w stół nie bije i posłom nie grozi. — „Laurka" — rulonik papieru czystego, czy zapisanego — nikt tego nie wie — związany kolorową wstążeczką— oto instrument dyktatury nad sejmem.

Czy Sejm, który poddaje się dyktaturze „laurki" ma prawo do swobodnego działania i decydowania o losach państwa? Widocznie sam nie wierzy, by miał to prawo, skoro na widok takiego „groźnego" instrumentu zmienia swoje decyzje i postanowienia. Zaufanie społeczeństwa dałoby Sejmowi taką pewność siebie, że i przed bagnetami by nie ustąpił.

* * *

A w stosunku do społeczeństwa, czy istnieje dyktatura i narzucanie mu przez rząd przemocą swojej woli?

Sądzimy, że nie. A sąd nasz opieramy na faktach konkretnych. Każda inicjatywa, wychodząca ze społeczeństwa jest podejmowana przez rząd. Na razie okoliczność tę w dużej mierze wykorzystują z jednej strony ruchliwe radykalizujące ugrupowania a z drugiej ugrupowania zachowawcze różnych odcieni, a ostatnio także organizacje gospodarcze. Reszta, bałamucona systematycznie przez klasowe i ekskluzywnie nacjonalistyczne partje, kontaktu z rządem jeszcze nie szuka, ale i nie unika. Nie orjentuje się tylko w tem, jakich należy używać pośredników.

Dla stwierdzenia opinji, zainteresowanych w poszczególnych posunięciach i decyzjach, sfer społeczeństwa, rząd powołuje coraz to nowe ciała doradcze, zwołuje konferencje informacyjne, rady, komisje.

Posunięcia dyktatorskiego w stosunku do społeczeństwa lub pewnej jego grupy w zakresie zagadnień gospodarczych i społecznych nie znamy. Nie znamy też wypadku, by ze strony rządu użyto chociażby tylko „laurki" dla uzyskania dogodnej dla siebie opinji czy orzeczenia takich powoływanych przedstawicielstw.

Brak wszelkich tendencyj dyktatorskich w stosunku do społeczeństwa w zakresie jego pozapolitycznych interesów jest tak wyraźny, że w pewnych wypadkach, gdy istnieje większa rozbieżność zdań, rząd nie może nawet zdecydować się na rolę arbitra. Z tego tytułu czynione są rządowi ze strony społeczeństwa bardzo często uzasadnione zarzuty.

Prof. Bartel mówił prawdę, gdy w sejmie oświadczył: „Nie w imię autokratyzmu, ale w imię nowożytnie pojętej demokracji żądaliśmy od ciał ustawodawczych określonych pełnomocnictw".

* * *

ROKOWANIA POLSKO - NIEMIECKIE.

Rokowania polsko-niemieckie nad umową handlową zostały znowu przerwane. Delegacja polska, która prowadziła w Berlinie te rokowania, wróciła do Warszawy. Rokowania zerwał rząd Rzeszy niemieckiej pod pretekstem, że rząd polski wydalił z Górnego Śląska kilku obywateli niemieckich, co do których istniało podejrzenie, że są dla państwa polskiego wrogo usposobieni. Rząd niemiecki użył bardzo wątłej podstawy dla swego stanowiska. Chociaż bowiem doszło już do porozumienia w sprawie osiedlania się obywateli niemieckich w Polsce, podciąganie wydaleń na Górnym Śląsku pod to porozumienie jest argumentem mocno naciągniętym.

Istotna przyczyna zerwania rokowań leży w sferze politycznych zamierzeń obecnego rządu niemieckiego. Swiadczy o tem fakt, że także i w rokowaniach prowadzonych przez Niemcy z Francją nastąpił zastój.

W miarodajnych dla tej sprawy kołach politycznych polskich utrzymuje się opinja, że zerwanie przez Niemcy rokowań z Polską pod pierwszym lepszym błahym pozorem stanowi dywersję, mającą na celu zachwianie naszego frontu gospodarczego.

Niemcy wiedzą o tem, że zawarcie umowy handlowej polsko-niemieckiej i powrót do normalnych stosunków gospodarczych polsko-niemieckich oznaczać będzie w opinji Anglji i Ameryki prawie że stabilizację ostateczną stosunków gospodarczych w Polsce. Wiedzą o tem, bo propaganda niemiecka długo pracowała, by urobić na zachodzie i za Oceanem opinję, że Polsce, pokłóconej z Niemcami grozi niechybnie katastrofa gospodarcza.

Nasze niepowodzenia pożyczkowe w Anglji i Ameryce tem się tłumaczą. Żądano tam żyra niemieckiego na nasze zobowiązania, żyra w postaci umowy handlowej. I Polska bardzo daleko poszła już w ustępstwach. Dalej poprostu niepodobna iść.

Znaczna poprawa stosunków gospodarczych w Polsce, osiągnięta stabilizacja waluty — brak od dawna objawów zaburzeń politycznych wewnątrz kraju — uciszenie się wojowniczych elementów z pośród mniejszości narodowych — zamarcie legendy o grożącym przewrocie politycznym — wszystko to przyczyniło się do krytycznego ustosunkowania się zasobnej w kapitały zagranicy wobec propagandy niemieckiej.

Najnowsze nasze próby pożyczkowe w Ameryce, podjęte na skutek wyraźnej zachęty stamtąd świadczą, że kwestja żyra niemieckiego na wekslach polskich przestała już być dogmatem.

Krok rządu niemieckiego ma na celu obudzenie nowej nieufności i zmuszenie nas do dalszych ustępstw.

* * *

Zerwanie rokowań z Niemcami stawia rząd nasz wobec pewnych konieczności, zaniedbanie których może się srodze zemścić. Mamy na myśli szereg konieczności gospodarczych i społecznych, które jako wysoce drażliwe pod różnemi pozorami usuwa się z porządku dziennego. Jeśli Niemcy trwać będą w swoim uporze, sanację życia gospodaczego przeprowadzać będziemy musieli długo jeszcze o własnych siłach, jeśli nie zechcemy zgodzić się na bardzo wysoką cenę za pomoc obcą.

O własnych siłach — to w warunkach obecnych oznacza kosztem wyrzekania się ze strony państwa i społeczeństwa najelementarniejszych potrzeb, kosztem kurczenia zakresu gospodarczych możliwości do minimum, kosztem zjadania majątku narodowego. Nie utrzyma w należytym stanie domu, kto nie ma środków na wyzyskanie go korzystne i sam musi ścieśniać się do jednego pokoju.

Jeśli więc nie będziemy mogli liczyć na szybką pomoc gospodarczą z zagranicy, a nie chcemy znaleźć się wobec smutnej ostateczności zgodzenia się na dyktando niemieckie, zabierzmy się niezwłocznie do uruchomienia kapitałów, jakie marnieją w mięśniach naszej armji bezrobotnych. Zaczynajmy burzyć przeszkody, które ten kapitał odgradzają od produkcji. Ale prędko, póki nie rozejdą się nam zasoby, jakie z zeszłorocznej konjunktury jeszcze posiadamy.

* * *

KONSERWATYŚCI.

Konserwatywne stronnictwo „Prawicy Narodowej" rozwija ożywioną działalność. Po zorganizowaniu grupy łódzkiej i uruchomieniu nabytego w Warszawie pisma codziennego „Dzień Polski" czynione są przygotowania do zorganizowania grupy we Lwowie.

Na ostatniem zebraniu publicznem grupy łódzkiej z udziałem przywódców stronnictwa Janusza Radziwiłła, b. min. Targowskiego i innych, p. Targowski wyjaśnił stosunek Prawicy Narodowej do obecnego rządu. Nazwał ten stosunek „życzliwą opozycją". Istota tego stosunku polega na tem, że stronnictwo popiera usilnie każdy krok rządu w kierunku twórczej państwowej pracy, uzdrawiania co było złem i wzmacniania autorytetu i powagi władzy wykonawczej, a krytyce poddaje posunięcia, robione pod wpływem tendencyj radykalnych.

W przeciwieństwie do taktyki Obozu Wielkiej Polski, który oczekując katastrofy czy to skutkiem przyczyn natury gospodarczej, czy też natury politycznej, zawczasu przygotowuje się do interwencji, a tym-

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE
POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

czasem usuwa się od wszelkiej współpracy dla uchylenia niebezpieczeństwa katastrofy. — „Prawica Narodowa" gotowa jest wszystko uczynić, by do katastrofy nie doszło. Opozycja jej odnosi się tylko do takich zamierzeń rządu, które zrealizowane, mogłyby sprzyjać załamaniom się czy to na polu gospodarczem czy politycznem.

Charakterystyczne było oświadczenie ks. Radziwiłła w sprawie stosunku do ruchu monarchistycznego w Polsce. „Prawica Narodowa" dąży do wzmocnienia naczelnej władzy w państwie i wyposażenia jej w rozległe kompetencje — ale nie przywiązuje większej wagi do tego, czy przedstawiciel tej władzy nosić będzie koronę, czy też cylinder. W tym, nieistotnym narazie szczególe różni się „Prawica Narodowa" od „Stronnictwa Zachowawczej Pracy Państwowej", czyli t. zw. grupy monarchistów wileńskich, na której czele stoi ks. Eustachy Sapieha.

Inne drobniejsze grupy konserwatywne, których kilka naraz powstało po wizycie Marszałka Piłsudskiego w Nieświeżu, łączą się z jedną, albo z drugą grupą. Istniały tam różnice w zapatrywaniach na kwestję religji i rolę kościoła w państwie. Przedstawicielką czystego katolickiego światopoglądu jest grupa warszawska ks. Lubomirskiego i p. Glinki. „Prawica Narodowa" jest pod tym względem liberalniejsza, aczkolwiek uznaje w całej pełni rolę czynnika etyki religijnej w życiu państwa i społeczeństwa. Akcentuje jednak silniej słowo „religja" niż „katolicyzm".

W zasadniczych sprawach polityki państwowej i aktualnych konieczności państwowych różnic między poszczególnemi grupami konserwatywnemi niema.

W niewyraźnej sytuacji znajduje się tylko stronnictwo Chrześcijańsko - Narodowe, które z programu zbliżone jest do „Prawicy Narodowej", ale taktycznie ciąży w stronę Obozu W. P. Tej dwoistości stronnictwo to długo nie wytrzyma. Wielu z jego członków i sympatyków odchodzi do obozu konserwatywnego.

Na marginesie żądań robotniczych

Żądania podwyżkowe, zgłoszone przez łódzkie związki robotnicze wobec związków przemysłowych, dają zawsze żerującej na sensacji prasie temat do rozwinięcia lotu wyobraźni. Tym razem nie czynią tego pisma łódzkie, które jako bliżej i lepiej poinformowane o charakterze żądań i względnie jeszcze odległym terminie odpowiedzi na nie, zajęły przeważnie stanowisko wyczekujące, a nawet w pewnych wypadkach krytyczne.

Natomiast *pisma stołeczne*, a w tym rzędzie nawet półoficjalna „Epoka", *informują swych czytelników o „konflikcie" i „ostrym zatargu" w przemyśle włókienniczym*, podczas gdy mamy w tym wypadku do czynienia narazie tylko z faktem wymówienia we właściwym terminie obowiązującej umowy, która wobec tego wygasa z dniem 7 marca.

Zatem narazie ani o konflikcie, ani o zatargu, a zwłaszcza ostrym, mowy jeszcze być nie może i nie powinno, i niczem innem, jak chęcia wywołania go, nie można sobie wytłumaczyć zarówno tonu, jak i treści artykułu, którego autor pozwala sobie na przesądzanie w żadnej mierze jeszcze nie wyjaśnionego stanowiska przemysłu.

Nieścisłość w informowaniu opinji posunięta jest tak daleko, że nawet co do strony faktycznej podaje się informacje tak fantastyczne, jak ta, iż jednym z motywów żądań jest „niedotrzymanie zastrzeżonego w umowie punktu o wyrównaniu zarobków przez zastosowanie wskaźnika drożyźnianego", w czem notorycznie niema ani słowa prawdy, jako że wskaźnik drożyźniany nie obowiązuje już od lat trzech.

Gorliwy korespondent „Epoki", usiłujący sobie nadać cechy powagi przez demagogicznie zakrojone rewelacje o zyskach przemysłu, wyrażających się w ciągłych inwestycjach (dosłownie: ciągłych inwestycjach) i o pochłaniających olbrzymie sumy zarobkach dyrektorskich, nie rozumie np. tego, dlaczego zwyżka robocizny wpływać ma na wzrost cen towarów, skoro w poszczególnych okresach ceny wzrastają mimo, że płace nie zostały podwyższone.

Nie zadał sobie też skromnego trudu łatwego wyliczenia, że *wzrost kosztów utrzymania wyniósł od czasu arbitrażu z roku 1924 zaledwie o 7 i pół procent więcej od wzrostu płac* i nie poddał w świetle tego krytycznej ocenie żądania 25-procentowej podwyżki. Zamiast tego wszystkiego reweluje rzekomo ustalone już stanowisko przemysłu, alarmuje opinję publiczną i wzywa rząd do natychmiastowej interwencji w obłudnej trosce o naszą sytuację gospodarczą i spokój wewnętrzny. Co w takim razie nazywa się sianiem paniki?

Jak na pismo półoficjalne — to silne.

(d)

O kurs złotego

W obszernym artykule na łamach „Kurjera Warszawskiego" p. Wł. Grabski polemizuje m. in. z naszym artykułem z przed 2-ch tygodni, w którym omawialiśmy sprawę kursu złotego, wskazując na niebezpieczeństwo ewentualnego powrotu do jego pierwotnej wartości parytetowej.

P. Grabski jednakże całkowicie nieściśle interpretuje stanowisko, zajęte przez „Prawdę", gdy zalicza nas do tych zwolenników stabilizacji kursu złotego, którzy byliby niezadowoleni z zagwarantowania waluty krajowej przed zniżką i woleliby zagwarantowanie jej przed zwyżką. Mówiąc bowiem o stabilizacji, mieliśmy na myśli stan taki, przy którym zarówno zniżka, jak zwyżka są poza granicą pewnych nieznacznych oscylacyj niemożliwe. Nie twierdząc bynajmniej, że ostatnia zwyżka około 1 proc. przedstawia niebezpieczeństwo i wymaga ratunku, zajmowaliśmy stanowisko nie do tego objawu, jako takiego, a tylko jako do symptomu, znamionującego według pogłosek zamierzony rzekomo powrót do parytetu. I przy opinji, że nie mogłoby to nie być połączone z jak najpoważniejszemi nowemi i groźnemi w skutkach wstrząśnieniami musimy obstawać.

Tego zdania p. Grabski jednak nie podziela i trwa w wątpliwości co do tego, czy najlepszym sposobem na usunięcie dolara z naszego obiegu wewnętrznego jest nowa reforma walutowa, czy też powolny i stopniowy powrót złotego do parytetu. Ale p. Grabski uważa reformę walutową za prawne zdewaluowanie naszej waluty, które według jego przekonania również stanowićby musiało eksperyment niebezpieczny, gdyż stałoby się hasłem dla powszechnej rewizji wszelkich cen, płac, wynagrodzeń i przerachowań. Tutaj tylko w części zgodzić się możemy z tem zdaniem, przyznając, że przerachowania istotnie musiałyby być konsekwencją nieuniknioną nowej pod względem swej wartości waluty. W tem jednakże nie dopatrujemy się niebezpieczeństwa, lecz tylko bardzo pożądanego momentu uzdrowienia naszych warunków, których równowaga jest przecie z powodu spadku kursu złotego w bardzo podstawowych elementach gospodarczych zachwiana. Tak więc kapitały, wyrażone w złotych, nie przedstawiają tej wartości, w jakiej istotnie na podstawie pierwszej reformy walutowej zostały ustalone, tak i wierzyciele z okresu przedwojennego, spłacani według zasad ustawy, wydanej za czasów złotego parytetowego, nie otrzymują tej części swojej należności, jaką im przyznało prawo. To przecie z pewnością nie jest stan zadowalniający, ani normalny, którego utrzymanie jeszcze przez długi szereg lat, niezbędny dla stopniowego i powolnego powrotu złotego do parytetu, może być uznane za pożądane. Co zaś do cen, płac i wynagrodzeń, to nie rozumiemy, dlaczego ustawowa legalizacja trwającego już od 9 miesięcy stanu miałaby się stać powodem jakichś znaczniejszych przesunięć, skoro dokonały się one już same na podstawie stanu acz nie prawnego, lecz faktycznego.

Przykład Szwecji i Danji, na który powołuje się p. Grabski, nie może żadną miarą być miarodajny dla nas, bo kraje te nie przebyły okupacji, inflacji i sanacji, nie utraciły w tych przeżyciach całości swego kapitału i nie doznały przerw oraz gruntownego przestawienia całego swego życia gospodarczego. Dlatego też mogły sobie pozwolić na krótkie zresztą oczekiwanie powrotu swoich walut do parytetu, do czego, jak sam p. Grabski przyznaje, my potrzebowaliśmy szeregu lat. Dodajmy: lat stałej nienormalności warunków gospodarczych, niepewności jutra i dwu walutowości złotowo - dolarowej.

Nie zajmując nigdy stanowiska, iż stabilizacja złotego ma być tylko obroną przed tem, aby złoty nie mógł iść w górę, o co bez podstawy posądza nas p. Grabski, rozumieliśmy zawsze i rozumiemy w dalszym ciągu stabilizację właśnie jak najszerzej pojętą, jako podstawowy i najważniejszy warunek uzdrowienia i normalizacji naszego życia gospodarczego.

Zastrzegamy się przed zarzutem, jakobyśmy zalecając stabilizację kursu złotego na jego poziomie dzisiejszym prekonizowali prawną dewaluację naszej waluty. Wprost przeciwnie: stan, w którym złoty według ustawy ma wartość wyższą od jego wartości faktycznej, uważamy za stan posiadania waluty jawnie i faktycznie zdewaluowanej. Z tego stanu chcielibyśmy wyjść nie przez prawne zdewaluowanie złotego, lecz przez prawne obniżenie jego parytetu, którego nadmierna wysokość była jedną z przyczyn jego katastrofy, i przywrócenie go tym sposobem do honoru pełnowartościowości. Dopiero, gdy to się stanie, przejściowe wahania w granicach 1—2 proc. nikogo nie będą niepokoiły. Dopóki jednak ustawowy parytet złotego jest o tyle wyższy od faktycznego jego kursu, wszelkie wahania tak w jednym, jak i w drugim kierunku z zupełną słusznością stają się przyczyną całkowicie uzasadnionego, a ze wszechmiar niepożądanego zaniepokojenia.

M. B.

Obciążenie podatkowe

W mowie swej wygłoszonej w Sejmie p. minister skarbu, Czechowicz, uraczył słuchaczy cyframi, odnoszącemi się do obciążenia podatkowego w Polsce.

P. minister twierdzi: Dochód społeczny całej ludności Rzeczypospolitej określam na 9 i pół miljarda złotych w złocie rocznie. Uwzględniając złote papierowe, dochód można przyjąć w kwocie 12 miljardów. Z tego dochodu ludność opłaca tytułem podatków, danin i opłat na rzecz państwa i samorządów 1,8 miljardów złotych papierowych, czyli 15,7 procent. W Niemczech ludność płaci 26 procent, w Anglji 22 procent i t. d. Nie wolno więc narzekać, że w Polsce obciążenie podatkowe jest zbyt wysokie.

Znakomitą ilustracją do tych wywodów p. ministra skarbu jest ogłoszony prawie w tym samym dniu, w którym to przemówienie było wygłoszone, **tymczasowy wykaz dochodów skarbu państwa z podatków, opłat i danin w miesiącu styczniu 1927 r.**

Ze źródeł tych wpłynęło okrągło **74** milj. złotych oraz 6 milj. 10 proc. dodatku. Kto tę sumę zapłacił?

Podatek przemysłowy dał 21,7 milj., dochodowy 9 milj., majątkowy 5,8 milj., opłaty stemplowe 13,3 milj. zł. Razem **sam tylko przemysł i handel ze skromnym udziałem wielkiej własności ziemskiej** w podatku majątkowym zapłaciły okrągło 50 miljonów, a tytułem 10 proc. dodatku do podatków państwowych 6 miljonów zł., czyli **razem 56 milj. złotych.**

Resztę, t. j. 24 milj. podatków pośrednich oraz 19 milj. opłat celnych, czyli 43 milj. zł. zapłaciła cała ludność, spożywając opodatkowane towary i wyroby, za opłatą celną z zagranicy przywiezione.

Ludność wiejska stanowi w Polsce 75 procent ogółu ludności, robotnicza około 10 procent, odliczając jeszcze 5 proc. na inteligencję urzędniczą i zawodową — pozostałe 10 procent stanowią ludność zarobkującą w przemyśle i handlu.

10 procent ludności zapłaciło 56 miljonów złotych podatków bezpośrednich. A ponieważ udział tej grupy w podatkach pośrednich i cłach wynosi także conajmniej 10 proc., czyli 4,3 milj. złotych, **udział 10-procentowej mniejszości społecznej, trudniącej się handlem i przemysłem w opłatach na rzecz państwa wynosi 60,3 milj. złotych,** a udział 90 procent większości włościańsko-robotniczej tylko **niespełna 39 milj. zł.**

Czy w takich warunkach cyfra obciążenia na głowę ludności jest miarodajną? Stanowczo nie, i posługiwać się nią jako argumentem, zbijającym twierdzenie, że obciążenie podatkowe w Polsce jest zbyt wysokie, **nie można i nie wolno.**

Dodać należy jeszcze, że 10 procent ludności handlowo-przemysłowej ponosi prawie w 90 procentach **koszta utrzymania samorządów.**

Gdyby dochód tych 10 procent wynosił rzeczywiście 61 procent ogólnego dochodu społecznego, t. j., gdyby dochód roczny handlu i przemysłu wynosił 61 proc., czyli 7,3 miljardów, a dochód reszty ludności 4,7 miljardów, czyli 39 procent, obliczenie na głowę ludności byłoby słuszne i miarodajne. **Ale tak nie jest.** Nie jest nawet odwrotnie.

Na dochód społeczny, na owych 12 miljardów składa się przedewszystkiem dochód z miljonów gospodarstw wiejskich nieopodatkowanych i z pensyj i zarobków inteligencji i robotników, nieujętych opodatkowaniem bezpośredniem. Dochody handlu i przemysłu stanowią znikomą mniejszość tej sumy, a ciąży na nich przygniatająca większość opodatkowania.

Cyfry styczniowe nie są wprawdzie całkowicie miarodajne, bo w tym miesiącu pozycja podatku przemysłowego jest nieco większa niż w innych miesiącach, ale w stosunku rocznym odchylenia od wyżej przytoczonych stosunków są minimalne.

Obciążenie podatkowe jest przedewszystkiem nierównomierne i dlatego nadmierne dla pewnych grup społecznych.

Zadaniem polskiej polityki skarbowej winno być doprowadzenie do właściwego rozłożenia ciężarów podatkowych na poszczególne grupy uczestników w dochodzie społecznym. Zanim to zadanie nie będzie rozwiązane, pełny rozwój życia gospodarczego pozostawać będzie w sferze pobożnych życzeń.

ROLA PRZEMYSŁU W POLITYCE.

Czytamy w „Dniu Polskim":

„Aby osiągnąć wpływ istotny, musi przemysł zainteresować się, o ile możności, całokształtem spraw państwowych, wziąć żywy udział w polityce i zaważyć na jej szali całym swym autorytetem moralnym i materjalnym.

Kto decydował u nas dotąd naprawdę o strukturze stosunków gospodarczych i o losie poważnych warsztatów pracy w kraju? W bardzo niewielkiej mierze ci, którzy je stworzyli i nimi zarządzali. Gospodarstwem krajowem rządziła przez osiem lat blisko demagogja z punktu widzenia swych haseł radykalnych, a nie w imię prawdziwych potrzeb przemysłu, rolnictwa i państwa wogóle. I podczas, kiedy w innych państwach interesy przemysłu i handlu decydują nieraz o najdonioślejszych sprawach państwowych, o wojnie i pokoju, mógł u nas lada demagog jednym hałaśliwym wnioskiem w Sejmie rozstrzygnąć dla swej osobistej reklamy o losie całych wielkich gałęzi gospodarczych, miljardowych wartości i setek tysięcy pracowników.

A działo się to dlatego, że przemysł, pogrążony w swych fachowych wyłącznie sprawach, niewiele interesował się ogólną polityką.

Jedynym na to środkiem jest polityczna organizacja przemysłu, handlu i rolnictwa pod egidą jakiegoś racjonalnego programu, zdolnego uwzględnić naprawdę żywotne interesy prywatnego gospodarstwa w kraju w imię korzyści ogólno-państwowych.

Zresztą losy naszego przemysłu, a za nim — jak to zaznaczyliśmy na wstępie — także i pierwszorzędnej sprawy zatrudnienia coraz liczniejszych rzesz robotniczych, rozgrywają się w mniejszej tylko części przy biurku lub warsztacie fabrycznym, w daleko większej zaś na forum publicznem. I kogo tam zabraknie, ten nie będzie miał wpływu ani na kierunek gospodarstwa krajowego, ani nawet na los swego własnego warsztatu".

USTAWY SAMORZĄDOWE.

Komisja Administracyjna Sejmu przyjęła w drugiem czytaniu projekt ustaw samorządowych. O wartości tych projektów świadczy ta okoliczność, że są one owocem kompromisu zawartego między takiemi stronnictwami jak Chrześc. Demokracja, P. P. S., Związek Ludowo-Narodowy' „Wyzwolenie" i „Stronnictwo Chłopskie". W razie gdyby projekty te miały stać się ustawą, Polska otrzymałaby najfatalniejsze ustawodawstwo samorządowe, a rady gminne i miejskie stałyby się terenem walk i targów partyjnych, co musiałoby do reszty podkopać ideę samorządu w społeczeństwie.

To też pocieszającem jest, że z ust wicepremjera Bartla padły w Sejmie słowa, pozwalające mieć nadzieję, że rząd niedopuści do uchwalenia tych ustaw przez Sejm.

Potężny Parjas

Urzędnik polski ma w ręku władzę, jakiej nie ma urzędnik prawie żadnego państwa a jednocześnie żyć musi w warunkach materjalnych tak nędznych, w jakich znowu nie żyje urzędnik w żadnem innem państwie. — W tej paradoksalnej, a jednak prawdziwej, sytuacji tkwi źródło zła naszej administracji.

Jednym z jaskrawszych paradoksów życia odrodzonej Polski jest niedola urzędników. Anomalja jest tem większa, że państwo nasze oparte jest w dużej mierze na biurokracji, jako czynniku twórczym.

Według założeń konstytucji marcowej parlament miał być głównym czynnikiem twórczym Rzeczypospolitej. Skoro jednak zawiódł pokładane w nim nadzieje, główny ciężar poczynań twórczych spadł na biurokrację. Zdawałoby się, że fakt ten spowodować powinien otoczenie tej warstwy społeczeństwa specjalną opieką rządu i sejmu. Stało się wręcz przeciwnie. Urzędnik stał się parjasem, któremu sfery naszego społeczeństwa, niesklonne do wykwintnego dobierania słów, nie szczędzą epitetu „dziada".

Sejm, zbyt mało orjentujący się w zawiłych sprawach administracji państwa, z zadowoleniem zepchnął na barki urzędnika pracę, traktując go jednak finansowo, jako najemnika, który byle czem się zadowoli. System protekcji i zupełne lekceważenie kwalifikacyj przy obsadzaniu urzędów, ogromnie ułatwił to zepchnięcie urzędnika do roli parjasa.

Rządy dotychczasowe, t. j. przedmajowe, pogłębiały tylko to co uczynił sejm, były wykonawcami jego tendencyj. Dla nich warstwa urzędnicza była tą częścią społeczeństwa, nad którą mogły eksperymentować do woli. Wszelkie próby oszczędnościowe od urzędników się rozpoczynały. Reorganizacje, redukcje, obcinania płac, zmienianie norm płacy, przenoszenia nieustanne, usuwanie na podstawie § 116 ustawy o służbie państwowej — to narzędzia, zapomocą których stanowisko urzędnika czyniono coraz gorszem.

Z drugiej strony niedołęstwo Sejmu, znajdujące swój wyraz w tem, że we wszystkich ważniejszych dla państwa momentach działalność jego była zawieszana—coraz większej wymagało od urzędnika inicjatywy, zwiększało stopniowo władzę jego nad społeczeństwem.

Tak więc urzędnik polski równocześnie z odebraniem mu tego minimum zabezpieczenia materjalnego, jakie dla powagi wobec rządzonych było konieczne, pozyskał imponującą władzę.

Rezultatem położenia, w jakiem się znalazł nasz potężny parjas, jest wszystkim obecnie znana demoralizacja stanu urzędniczego. Władza duża, słaba kontrola, były temi okolicznościami, które ułatwiły nadużycia.

Obecnie urzędnik, jeżeli nie jest człowiekiem zamożnym, ma tylko *dwie drogi* wyjścia z czyścowych warunków swego życia.

Drogowskazami na nich są niepoświęcana mogiła samobójcy i zaciszny przytułek celi więziennej.

Szpalty dzienników przepełnione są faktami jednej i drugiej kategorji. Niewątpliwie wielu bardzo z idących drugą drogą nie dostało się jeszcze ani na łamy gazet, ani przed kratki sądowe. Są bowiem na tyle sprytni, lub szczęśliwi, że ich ta właściwa ocena działalności jeszcze ominęła. Można powiedzieć, że *mały procent urzędników, wyzyskujących państwo, został wykryty*, większość jeszcze spawuje władzę tem skuteczniej, że zdobyli sami środki nielegalną drogą dla nadania sobie powagi, której im państwo zabezpieczyć nie chciało.

Wysunięte przez przewrót majowy hasło sanacji monalnej było niezmiernie na czasie, tak daleko się posunęła demoralizacja.

Tendencje sanacyjne jednak spełzną na niczem, jeżeli nie usunie się okoliczności, która tej demoralizacji jest główną przyczyną; jest nią niesłychanie niskie wynagrodzenie urzędnicze. *U wszystkich narodów europejskich względna wartość wynagrodzenia urzędników, tj. w stosunku do cen najpotrzebniejszych do życia produktów, stoi znacznie wyżej niż w Polsce.* Trzeba za dewizę sanacji obrać tezę, że *minimum dobrobytu jest niezbędne, ażeby być etycznym.* Tam gdzie panuje nędza, wszelkie wykroczenia przeciw etyce są możliwe.

Rząd, niedostatecznie zabezpieczający urzędnika, mówi mu „kradnij i nie daj się schwytać".

Jest to rzecz tak oczywista, tak znana z przykładu administracji rosyjskiej, której dość długo przypatrywaliśmy się, że doprawdy zadziwia fakt, że żaden rząd dotychczas nie uczynił tezy powyższej kamieniem węgielnym poprawy stosunków wewnętrznych w państwie.

Rządy nasze przypominają czasami zacną postać z komedji Shaw'a „majora Barbarę", córkę miljonera, niemiłosiernie wyzyskującego robotników, która z ramienia Armji Zbawienia za pieniądze ojca utrzymuje całe zastępy symulantów, nierobów, wierząc w ich cnotę. Ojciec demaskuje obłudę wychowanków Barbary.

U nas te zapomogi 10% i 20% pensji wraz z dodatkiem mieszkaniowym lub bez niego wydawane od czasu do czasu potulnym urzędnikom ogromnie przypominają filantropję Barbary, majora Armji Zbawienia.

Jest to demoralizacja, bo wszakże wiemy dobrze ilu to nierobów, chciwych łatwego chleba, kryje się w cieniu protekcji po naszych urzędach. Rządy nasze są tedy i Barbarą i jej ojcem równocześnie.

Czy nie byłoby jednem z dzieł sanacji zerwanie z tą taktyką obłudną, mało zaszczytną dla stron obu, t. j. rządu i urzędników?

Oczywiście podwyższenie pensyj urzędniczych związane jest z osiągnięciem wyższej sumy dochodów fiskalnych państwa.

Niewątpliwie również rzecz ta da się osiągnąć tylko przez bardziej racjonalne rozłożenie obowiązku podatkowego na ludność państwa, tak, żeby każdy płacił, kto może płacić, i tyle, ile może płacić. Na tę stronę gospodarki skarbowej w Polsce kładł nacisk prof. Kemmerer. Związek jej z kwestją moralnego uzdrowienia warstwy urzędniczej jest bezpośredni.

Wskutek nieracjonalnych założeń, towarzyszących pierwszym krokom naszego państwa, tak jasne i proste prawdy muszą być teraz dopiero podkreślane.

Ale nie powinno nas to dziwić: wszak istniała Polska dobrych lat parę, zanim zdecydowała się wogóle pobierać podatki. Obecnie gorliwość w ich pobieraniu nie przedstawia nic do życzenia. Może więc bliską jest epoka, kiedy urzędnik państwowy, zwolniony od nieustającej troski o doczesną powłokę swoją i swych najbliższych, będzie mógł poświęcać swój czas i pracę nie tylko dla zarobku, ale i dla państwa.

Jeżeli skarb państwa nie zdobędzie środków na to, urzędnik polski nie zdoła wykrzesać z siebie tyle ideowego patrjotyzmu, ażeby sztandar polskości był atrakcją dla obywateli Rzeczypospolitej tak polskiego, jak obcego pochodzenia, i zarazem przedmiotem czci poza granicami państwa.

Dr. Gustaw Doborzyński.

WSZYSCY SIĘ BOJĄ...

Mimo instytucji Ligi Narodów, wielkim sumptem wszystkich państw utrzymywanej, niepewność polityczna jest w Europie większa niż kiedykolwiek. Tworzą się fronty i reduty polityczne, które jutro stać się mogą frontami walki zbrojnej i ogniskami wojennego pożaru.

Polityka europejska weszła w stadjum takiego zdenerwowania, wywołanego ambicją, chęcią rozszerzenia swoich wpływów, posiadłości lub fałszywych apetytów, że wszyscy wszystkich się boją. Idea Ligi Narodów, tak teoretycznie piękna, zeszła ze swego piedestału instytucji pośredniczącej i obronnej na teren politycznego lawirowania.

Coraz bardziej widocznem się staje, że zamiast „związku narodów", reprezentujących państwa, stała się kancelarją adwokacką wielkich mocarstw i reprezentantką ich interesów.

O inne państwa i narody dba o tyle i w ten sposób tylko, o ile ta lub owa sprawa wiąże się z interesem mocarstwowym. Nazywa się to budowaniem pokoju dla jednych, gdy drudzy mogą to uważać daleko śmielej za przygotowania do wojny.

Zejście Ligi Narodów do roli służebniczki, zbyt widoczne w jej czynnościach, pozbawia ją wszelkiej powagi moralnej i *politykę europejską wprowadza na tory przedwojenne* — zabezpieczenia się zapomocą przymierzy i układów od możliwego ataku.

Jakkolwiek interesy materjalne i bezpieczeństwo każdego państwa wymagały zawsze i będą w przyszłości wymagać związków przyjaźni, a w krytycznej chwili pomocy, to jednak w dobie obecnej, poza takiemi związkami, tworzą się układy, które możnaby nazwać *konwentyklami*, mającemi charakter *pokątnie załatwianych interesów materjalnych* — cicho, aby ktoś inny nie ubiegł.

Niekiedy w tych układach dostrzega się charakter o wiele gorszy: zmuszanie siłą słabszego sąsiada lub przeciwnika zgoła niegroźnego do wyzyskania jego słabości na korzyść własnego wzmocnienia się. Nie panika ale chciwość opanowała wielkie mocarstwa.

Dzisiejsze położenie Europy możnaby porównać do mrowiska, do którego wpadła duża gałązka, powiedzmy — oliwna. To nagłe, napozór drobne, wstrząśnienie przeraża spokojnie pracujące mrówki, które przerywają regularną budowę swego domu: jedne kręcą się jak nieprzytomne, inne uciekają z niespokojnego domu.

Taką zatrutą gałązkę pokoju rzuciły Niemcy w mrowisko państw europejskich, wywołując zamieszanie, które jeszcze trwać będzie, gdy nawet uda się tę żelazną imitację gałązki oliwnej z mrowiska europejskiego usunąć. Targi niemieckie o zmianę traktatu wersalskiego i pogróżki tajne lub jawne w stronę bliższych i dalszych sąsiadów wywołały ogromne poruszenie w polityce wszecheuropejskiej, tembardziej niepokojące, że odbywały się pod przykryciem obłudnej polityki.

Pogróżki niemieckie w stronę W. Brytanji i Francji wywołały zaniepokojenie tych państw co do niedalekiej przyszłości, a niepokój ten pociągnął za sobą locarneńskie układy, uzupełnione pogawędką w Thoiry, gdzie rozważano warunki i metody układów pokojowych z Niemcami.

Niemcy, godząc się zasadniczo na nietykalność rzekomą Francji, pozostawili sobie wolną rękę na wschodzie wobec Polski.

Briand znalazł się w kolizji wobec faktu, że Francja jest sojuszniczką Polski i do pewnego stopnia gwarantką jej bezpieczeństwa. Opuścić Polskę znaczyło tyle, co pozwolić po pewnym czasie Niemcom wznowić swoje pretensje do Alzacji i Lotaryngji, jako też dostępu do oceanu. Wahania się doprowadzą do tego, że sprawa bezpieczeństwa zostanie załatwiona połowicznie, gdyż adwokaci przy układach przegłosują komisję wojskową, która lekceważy papierowe układy, a liczy się tylko z faktami i charakterem nieprzyjaciela.

Pogróżki niemieckie w stronę górnej Adygi wywołały układ niemiecko - włoski o nieagresji względnej. Układ ten był tem potrzebniejszy, że rząd włoski chciał mieć wolną rękę na Adrjatyku, gdzie duża część wschodniej strony należała do Jugosławji.

Ażeby temłatwiej osłabić słowiańską sąsiadkę, która oddawna wpływom włoskim podlegała, Mussolini zawarł jakiś traktacik z Albanją i począł przyjaźnie uśmiechać się do Bułgarji, ażeby mocnym pierścieniem ścisnąć Jugosławję.

Wiedząc o pretensjach węgierskich do Jugosławji, Włochy próbują wciągnąć w przyjacielskie koło Węgrów, ażeby od Dunaju zamknąć pierścień słowiański. W ten sposób Włosi dążą do zneutralizowania wpływów francuskich. Ażeby temłatwiej dojść do tego celu, korzystają z niepewnego położenia Rumunji w stosunku do Rosji, która ma niezlikwidowane pretensje o Besarabję i usiłują szeregiem nowych zobowiązań wciągnąć Rumunję w koło polityki bałkańskiej.

Wkrótce po sformowaniu się państwa czesko - słowackiego, do którego, oprócz Rzeszy niemieckiej, miały pretensje terytorjalne Austrja, Węgry i Niemcy, że nie wspomnę o naszych, Benesz pośpieszył zabezpieczyć nietykalność swego państwa, tworząc tak zwaną **małą ententę**, wciągając do tego niby przymierza obronnego Jugosławję i Rumunję. Usiłował wciągnąć do tej trójcy także Polskę, ale tym razem roztropność polskiej polityki zwyciężyła i Rzeczpospolita, może nie bez motywów moralnych, wciągnąć się do tej imprezy nie dała. Nadaremnie p. Benesz zapomocą prasy swojej usiłował przekonać cały świat, że stworzył dzieło wiekopomne, zabezpieczając pokój Europie; nadaremnie biegał po całej Europie, jak kot z pęcherzem, głosząc chwałę swego czynu, nikt poważnie tej ententy nie brał, tembardziej, że punktem ciężkości i niepokoju w Europie byli Niemcy, nie zaś zrujnowane i słabe militarnie Węgry lub Austrja, a udział Rumunji w ewentualnej pomocy przedstawiał się bardzo wątpliwie ze względu na to, że sprawa okupacji Besarabji nie była jeszcze rozwiązaną.

Mała ententa była przeto robotą przez jakiś czas bardzo głośną i dobrze reklamowaną, ale realnego pożytku dla utrwalenia pokoju europejskiego nie posiadała, nikt też nie brał jej z poważnej strony. Nie była wszakże pozbawioną z powodu swojej barwy wojowniczej wpływu na zdenerwowanie sąsiadów, utrwalając wrażenie, że ktoś kogoś się boi, że ktoś przeciwko komuś zbroi się i że zatem wojna mogłaby wybuchnąć jutro, gdyby na straży pokoju europejskiego nie stali Czesi z małą ententą na czele.

Wzajemne niezadowolenie Włoch i Francji, które znalazło swój wyraz *w aferze niby szpiegowskiej Garibaldi et Comp.*, wywołało pogłoski o gromadzeniu wojsk nad granicą z jednej i drugiej strony. Były to wprawdzie, jeśli były, demonstracje polityczne, ale świadczyły niewątpliwie, że między obu państwami panują stosunki naprężone, że istnieje niezadowolenie wzajemne, że istnieje wzajemna obawa.

Powodów do tego nie brakło wcale. Pominąwszy stykające się wzajemne stosunki polityczne na terenie pozaeuropejskim, nie brak i na najbliższym terenie punktów stycznych i impresyj niezbyt pokojowych ze strony Włoch. Nie tak to dawno Mussolini wypowiedział się głośno, że *Morze Śródziemne było niegdyś domeną władania Rzymu i że do starej polityki rzymskiej wrócić trzeba.*

Niedwuznacznie także wypowiadano apetyty na Korsykę. Wszystko to, nawet w dziedzinie fantazyj politycznych traktowane, poza urzędowemi pokojowemi i przyjacielskiemi zapewnieniami, które zwykle niewiele są warte, jeśli się nie opierają na realnych podstawach, budzi w społeczeństwie obawy i wyraźne nastroje.

Największy niepokojący nacisk na Europę wywiera W. Brytanja swoją pozaeuropejską polityką. Na tym terenie stykają się dwie potęgi — wielkobrytyjska i rosyjska, każda innemi względami powodowana: Rosja bardzo niedwuznacznie atakuje W. Brytanję, pośrednio wprawdzie, w Chinach, a dociera Indyj. Niemcy, pragnąc jak najwięcej utargować po klęsce wojennej, dostarczaniem broni popierają Rosję i Chiny i nawet zawarły jakiś układ, niezbyt dokładnie znany co do treści, z Rosją. W interesie przeto W. Brytanji leży odciągnąć Niemcy od Rosji.

Jeśli pakt o niedostarczanie broni niby Rosji, a właściwie Chinom, dojdzie do skutku w formie stanowczej, Niemcy nie uczynią tego dla pięknych oczu Chamberlaina. Już teraz uzyskali w kolonjach swoich afrykańskich poważne ulgi i ustępstwa. *Dla zjednania też Rzeszy bardzo miękko traktuje W. Brytanja bezpieczeństwo Polski.*

Jak się rozwiąże to powszechne zaniepokojenie Europy i czy wobec stanowiska Niemiec długotrwały pokój będzie możliwy — rzecz bardzo wątpliwa.

Fr. Rawita-Gawroński.

HINDENBURG 10 LAT TEMU

Dnia 30 stycznia minęło 10 lat od chwili, gdy dzięki naciskowi Hindenburga Niemcy rozpoczęły bezwzględną wojnę łodziami podwodnemi, co — jak wiadomo — spowodowało decyzję Ameryki wzięcia udziału w wojnie i przesądziło o losach wojny światowej. Z tej okazji zamieszcza „Das Tagebuch" dwa dokumenty, dotyczące tej sprawy. Dokumenty te opublikował Ludendorff w swojej książce „Dokumenty Naczelnego Dowództwa z lat 1916—1918".

I.

DEPESZA DO KANCLERZA RZESZY

z dnia 23 grudnia 1916 r.

W związku z wymianą depesz gen. Ludendorffa z ministrem spraw zagr. Zimmermanem o wojnie łodziami podwodnemi, komunikuję W. Ekscelencij moją opinję, że ze względu na sytuację wojskową nie wolno nam tracić czasu i rozpoczynać od zatapiania tylko uzbrojonych statków handlowych nieprzyjacielskich.

Ententa prowadzi wojnę wszystkiemi siłami i co do tego niema wątpliwości po odmowie, jaka spotkała naszą propozycję pokojową we wszystkich parlamentach. Wilsona usiłowania nic tu nie zmienią. Propozycję Wilsona uważam na wywołaną przez Anglję, aby nas powstrzymać w tempie walk. Mojem zdaniem ze względów narodowych i ze względu na silną pozycję wojskową, nie możemy się tą propozycją zajmować! Byłoby więc ciężkim błędem i zaniedbaniem, gdybyśmy się mieli wahać!

Odczułaby to i nasza armja, która oczekuje najwyższego z naszej strony wysiłku. Nastroju w armji nie wolno zapoznawać, jeśli nie ma ucierpieć zapał do walki.

Samem tylko zatapianiem uzbrojonych statków handlowych Anglji nie pokonamy. Trzeba środków ostrzejszych, aby złamać odporność Anglików.

W czasie rozmowy w Pszczynie w sierpniu b. r. W. Ekscelencja uzależniła decyzję zaostrzonej wojny łodziami podwodnemi od mojej opinji, gdy moment stosowny nadejdzie. Moment ten nadejdzie z końcem kwietnia. Wówczas dojrzeje nasze zwycięstwo w Rumunji. Z drugiej strony nie wolno nam zostawiać czasu nieprzyjacielowi na przygotowania zbrojne do walki decydującej.

Czy należy przestrzegać pewne względy wobec Ameryki, zobaczymy w praktyce. Co do tego jeszcze się wypowiem. Przygotowania dyplomatyczne i wojskowe do zaostrzonej walki łodziami muszą być niezwłocznie rozpoczęte, abyśmy w końcu stycznia mogli ją rozpocząć. Proszę W. E. o rozpoczęcie natychmiastowych kroków w Naczelnem Dowództwie i w szefostwie marynarki.

von Hindenburg.

Protokuł rozmowy między kanclerzem, Hindenburgiem i Ludendorffem w głównej kwaterze w Pszczynie dnia 9 stycznia 1917 roku.

Kanclerz: Decyzja w sprawie bezwzględnej wojny łodziami podwodnemi zależna jest zatem od skutków, jakich spodziewać się możemy. Admirał Holtzendorf obiecuje, że do nowych żniw damy sobie rady z Anglją... Łodzie podwodne, to nasza ostatnia karta. Niezmiernie ważna decyzja! Jeżeli jednak naczelne dowództwo uważa wojnę łodziami za konieczną — nie mogę się sprzeciwiać.

Hindenburg: Jesteśmy przygotowani na wszystkie ewentualności ze strony Ameryki, Danji, Holandji i także Szwajcarji. Wojna podwodna z okrętami uzbrojonemi nie daje dostatecznie skutecznych rezultatów. Musimy działać najenergiczniej i najbezwzględniej jak tylko można i dlatego bezwzględna wojna łodziami od 1 lutego 1917 r. Wojnę musimy w przyśpieszonem tempie zakończyć. My wytrzymamy jeszcze długo, ale nasi sprzymierzeńcy mogą niedopisać.

Kanclerz: Pomoc Ameryki w razie gdyby zechciała wziąć udział w wojnie objawi się w postaci dostawy żywności dla Anglji, w postaci kredytów, dostawy samolotów i pułków ochotniczych.

Hindendurg: Z tem łatwo sobie poradzimy. To nas najmniej powstrzymuje. Jest teraz najlepsza okazja do wojny łodziami podwodnemi. Możemy ją prowadzić i musimy ją prowadzić.

Kanclerz: Rzeczywiście, jeśli jest nadzieja powodzenia, to musimy.

Hindenburg: Unikniemy wyrzutów, które będziemy sobie robić, jeśli nie wykorzystamy tej okazji.

Kanclerz: A jeśli Szwajcarja wypowie nam wojnę albo jeśli francuzi zaatakują nas przez Szwajcarję?

Hindenburg: Ze względów wojskowych nie byłoby to tak bardzo niekorzystnem...

Ulotki prawne

* * *

Zawór główny niskoprężnego ogrzewania systemu Weyman'a działał bez zarzutu, przynosząc widoczną chlubę i zaszczyt swemu konstruktorowi. W przedziale wagonu panował upał wprost nieznośny, a zawieszony skromnie w kącie termometr wskazywał jakąś zawrotną, podzwrotnikową poprostu temperaturę. Pociąg mknął pełnią pary.

Nawprost mnie siedziała młoda niewiasta. Jeśli prawdą jest, że kobieta ma tyle lat, na ile wygląda, to moja towarzyszka podróży nie przekroczyła — moim zdaniem — jeszcze lat dwudziestu. Poza szeregiem drobnych pakunków ręcznych obarczona była stosem gazet codziennych, które skwapliwie przeglądała. Mimowoli (mam bowiem żonę!) wzrok mój, padając z miejsca na miejsce, oparł się był o ową niewiastę. Czytała. Była zatopiona w czytaniu. Na twarzy jej malowała się nieprzeciętna ciekawość i zainteresowanie. Jakkolwiek „do góry nogami", zdołałem jednak przeczytać tytuł rubryki, w którą tak skwapliwie wpijała swój wzrok. Nazywało się to — „Z sądów". Po chwili moja towarzyszka podróży porzuciła pismo, biorąc do rąk inne. Nerwowym ruchem przerzucała kartki i zatrzymała się na rubryce — „Zbrodnia i kara". Jeszcze czas jakiś przeszedł, a w rękach jej znalazło się pismo trzecie; tym razem rubryka odnaleziona nosiła szumny tytuł „Kroniki sądowej..."

Ciekawe...

Jakto? Więc nic innego nie czyta? Wątpiłem, bym miał przed sobą ten rzadki okaz prawnika z zamiłowania, któren poza prawem nic innego nie widzi, nie zna. Jest to pewnego rodzaju zaślepienie, a nawet psychoza, zgoła zresztą nieszkodliwa. Ale u tak młodej dziewczyny?...

Nic jednak łatwiejszego, jak nawiązanie znajomości w wagonie. Wystarczy — jakkolwiek siedzimy w wagonie dla palących, zadośćuczynić tej prostej formule, jaką jest zainterpelowanie najbliższej nam niewiasty o łaskawe pozwolenie na zanieczyszczenie powietrza preparatem nikotyny. Zezwoliła. I od słowa do słowa — wywiązała się rozmowa...

— Pan nie wie wcale, jakie to piękne, te wszystkie sprawy sądowe. Trzeba być prawnikiem, by to rozumieć...

Nieśmiało zapytałem, czy ukończyła uniwersytet. Nie. Nie ukończyła. Ale prawo kocha. Szalenie ją to interesuje. A że czyta rubryki sądowe, tego przyczyny szukać należy w warunkach specjalnych.

— Widzi pan, ja kiedyś byłam w więzieniu. Przez parę minut zaledwie przypatrywałam się życiu tych, którzy zostali wyrokiem sądu wyrzuceni poza nawias społeczeństwa. Pozbawieni tego, co chyba dla żyjącego człowieka stanowi rzecz najdroższą, pozbawieni swobody ruchów, wywarli na mnie nieprzeciętnie silne wrażenie. To są ludzie, którymi społeczeństwo nie interesuje się wcale. A przecież nie wszyscy oni są tak zepsuci. Możnaby z wielu z nich zrobić jeszcze zdrowego i dobrego obywatela kraju, tylko że u nas na nic niema ani czasu, ani chęci, ani gotówki... A to przecież potrzeby społeczne...

Przyznać muszę, iż słuchałem, nieco zdumiony. Te słowa, płynące z ust młodej dziewczyny, dziecka oniemal, słyszało się przecież tyle razy! Więzień, jako problem, stanowił tematy setek prac doktorskich, habilitacyjnych i wogóle naukowych. Poświęcano mu dziesiątki tomów, których lwią część przeczytałem, a mimo to wszystko więzień w opowiadaniu tej małej urastał w moich oczach do problemu tak potężnego, tak doniosłego, jak nigdy przedtem. Wszyscy znamy te utarte komunały, jakiemi każdy kryminolog karmi każdego swego rozmówcę. A więc — kara, jako idea poprawy, mająca na celu powrócenie schorowanego organizmu psychicznego przestępcy na tory zupełnego zdrowia, przejawiającego się przedewszystkiem w powrocie do uczciwego trybu życia; konieczność indywidualizacji kary; praca wychowawcza nad więźniem i szereg, szeregi całe innych teoretycznych czy praktycznych zagadnień. Ale w mojej interlokutorce interesowało mnie jednak co innego: czyżby istotnie jedna jedyna wizyta kilkuminutowa w więzieniu mogła tyle zdziałać? I okazało się, iż wprawdzie nie bezpośrednio — lecz tylko ta jedna wizyta. Po niej bowiem Patronatowi nad Więźniami przybył jeden nowy członek!

Od tej chwili w życiu panny Wandy — tak brzmiało bowiem imię najmłodszej chyba z bojowniczek o zwycięstwo najnowszych idej kryminologicznych — od tej chwili, powtarzam, w życiu jej zaszła zasadnicza zmiana. Dążeniem jej stała się czynna pomoc owym od społeczeństwa izolowanym jednostkom. Dążeniem i — treścią życia. Owo zaś skrupulatne przeglądanie rubryk sądowych miało na celu możliwie ścisłe ustalenie miejsc skazania przestępców, by — w miarę potrzeby, w miarę sił i możności — nieść im pomoc moralną, pomagać do przetrwania okresu pozbawienia wolności i zaprawiać ich duszę do uczciwej walki o byt, o lepsze jutro!

— Takbym ogromnie chciała, by każdy przestępca, wychodzący po odbyciu kary z więzienia, mógł być takim, jak ja, jak pan... Ale to zrozumieć mogą tylko prawnicy!

Nie przyznałem się do tego, że jestem właśnie prawnikiem. Nie przyznałem się, gdyż... nie byłem członkiem Patronatu. Dziś nim jestem. I wiem, że zrozumieć to mogą nietylko prawnicy.

A czytelnicy moi? Sfera, z której się rekrutują, może oddać Patronatowi wielkie usługi. Kto chce — przy odrobinie dobrej woli dowie się o adres. No — kto pierwszy pójdzie śladami panny Wandy?!

Rikki.

Snobizm w konsumcji

Inflacja i względny wzrost konsumcji.—Czynniki określające stopę życiową. — Instynkt samozachowania i pragnienie wyróżnienia się. — Społeczny urok pieniądza. — Podniesienie wystawności i kosztowności stopy życiowej — skutkiem inflacji. — Snobizm. — Gospodarcza, społeczna, polityczna, i psychologiczna strony wydarzeń i zmian, zachodzących w życiu grup, są zaciśnięte w jeden węzeł. — Trudno wyjaśnić jakieś zjawisko gospodarcze nie wiążąc go z potrzebami i dążnościami ludzkiemi, a więc faktami psychologicznymi. — Również pozostanie ono niejasne bez związania z pewnemi zmianami moralno - społecznemi. —

Zjawiskiem, na które zwraca się u nas często uwagę, jest względny, w stosunku do produkcji, wzrost konsumcji. Przyczem wzrost ten obejmuje przedewszystkiem wyższe potrzeby i przedmioty zbytku. Spożycie artykułów pierwszej potrzeby, zarówno pod względem jakości jak ilości wykazuje raczej zubożenie.

„Można stwierdzić — pisze prof. Krzyżanowski (Pauperyzacja Polski współczesnej) — zaistnienie bardziej *zbytkownego trybu życia*... Konsumcja wzrosła w stosunku do produkcji, ale bezwzględnie zmalała, zwłaszcza moralnie i higjenicznie uzasadniona, natomiast utrzymała się na dawnym poziomie, a nawet wzrosła konsumcja dóbr zbędnych, czy też wprost szkodliwych. Można dowodzić, że wiele pań konsumuje więcej *pończoch jedwabnych i złych perfum, a mniej koszul i mydła*, że rząd łoży dość na uniwersytety, ale za mało na szkoły ludowe. Dbamy o zachowanie pozorów świetności. Staramy się o *imponujące fasady*, poza któremi ukrywamy upadek kultury".

Do podniesienia względnego konsumcji, zubożenia i poderwania warunków produkcji w pierwszym rzędzie przyczyniła się inflacja.

Ograniczenie lub wzrost spożycia nigdy nie obejmują równomiernie wszystkich potrzeb człowieka, ale tylko niektóre. I nie jest to tylko dziełem przypadku lub jedynie indywidualnych różnic w upodobaniach ludzkich, ale kwestją ogólnej sytuacji ekonomicznej oraz psychologji i moralności grupy społecznej, w jakiej inflacja zachodzi. Gdyby można było przeprowadzić subtelne badania nad popytem na różne artykuły w różnych państwach w okresie inflacji, uderzająca byłaby różnica w użytkowaniu pieniędzy w tym czasie np. w Niemczech i w Polsce.

Nawet w obrębie jednego państwa różnice będą duże, gdy przejdziemy z jednej warstwy społecznej (np. chłopów) do innej (np. pracującej inteligencji). Wynikają one właśnie z psychologicznej, obyczajowo - moralnej i kulturalnej odmienności tych grup.

Skutków inflacji nie wyczerpuje ekonomiczne zubożenie. Sięgają one głębiej w psychikę grupy i jej moralność. *Długo po usunięciu inflacji trwają jeszcze jej psychologiczne i moralne konsekwencje*, odbijając się w następstwie niepomyślnie i na gospodarczem życiu kraju. Bez usunięcia ich nie może być mowy o gospodarczej restauracji państwa. Poza wysiłkiem gospodarczym, społeczeństwo musi się zdobyć na wysiłek moralny.

Poza przedmiotami koniecznemi dla biologicznego podtrzymania życia, człowiek posiada wiele potrzeb wyższych, domagających się zaspokojenia. Skala ich jest bardzo rozległa, nasycalność niezwykle elastyczna. Poza minimum potrzebnem dla organizmu ludzkiego, stopę życiową, wysokość, ilość i jakość konsumcji, sposób zaspakajania potrzeb określają zwyczaje, moralność i kultura grupy (klasy, warstwy), do jakiej jednostka należy. Nawet w pokarmie, ubraniu, mieszkaniu poza ich rolą służenia organizmowi łatwo zauważyć czynniki społeczne w sposobie jedzenia, rodzaju i kosztowności potraw, materjałów i t. p. Potrzeby wyższe wygody, estetyki, higjeny, moralności i t. p. jeszcze w większym stopniu podlegają sprawdzianom grupy.

Sięgając do psychologicznych czynników, w gospodarczej sferze życia, poza instynktem samozachowania, zresztą łatwo nasycalnym, dominującą rolę zdaje się odgrywać *dążność do wyróżnienia się*.

„Wyjąwszy instynkt samozachowania — pisze znakomity ekonomista - socjolog *Veblen* (The theoory of the leisure class) — *skłonność do emulacji jest prawdopodobnie najsilniejsza, najbardziej żywotna i trwała z ekonomicznych motywów*". U jej źródła leży właśnie potrzeba wyróżnienia się.

Równie *Senior*, może zbyt przesadnie, przypisuje mu wielkie znaczenie. „Jeżeli zważymy — pisze — powszechność i stałość pragnienia wyróżnienia się, jeżeli zważymy, że podlegają mu wszyscy ludzie we wszystkich czasach, że towarzyszy nam od kolebki i nie opuszcza aż do grobu, to można uznać, że *pragnienie wyróżnienia się jest najsilniejsze z uczuć ludzkich*".

Rozumie się, że w zależności od społecznych i kulturalnych warunków dążność do wyróżnienia się wyraża się w rozmaitych formach. W waleczności, w ilości niewolników, wielkości stada, w bogactwie. W wielkich przemysłowych społeczeństwach, gdzie, z powodu wielkiego zróżniczkowania i chaosu stosunków w jakie człowiek wchodzi, osobistą zasługę trudno ocenić, ambicje sprowadzają się do jednego *bożyszcza - pieniądza*. I nietylko dlatego, że daje on wygodę. Początkowo związany z osobistą zasługą staje się wreszcie jej miernikiem.

Zawiść proletarjusza widzi u bogatego nie wyższą higjenę, wygodę i estetykę mieszkania czy ubrania, ale pańskość, możność płacenia za wszystko, władzę i wyższość społeczną. Możność płacenia za usługi, beztroskie spędzanie czasu bez przymusowej pracy wyjaśnia *społeczny urok pieniądza*. I dlatego wszystko, co wskazuje na tę możność płacenia i kryjącą się za nią wolność i wyższość człowieka jest przedmiotem jawnej lub ukrytej zawiści biednych. Powstaje pieniężna emulacja. Zaczyna się wyścig, którego celem nie jest wygoda, ale wyższość społeczna związana z możnością płacenia i niepracowania. Szuka się wszelkich pozorów wyróżniających. Stąd też przy wszelkich sprzyjających okolicznościach następuje podniesienie zbytkownej, wystawnej konsumcji.

PROGRAM MINISTRA DOBRUCKIEGO

Nominacja dr. Gustawa Dobruckiego spotkała się w prasie z bardzo licznemi i bardzo różnemi komentarzami, wyrazami ździwienia, a nawet ostrą krytyką, ponadto z przeróżnemi domysłami na temat przyszłej pracy nowomianowanego ministra. W dyskusji tej nie braliśmy udziału, wychodząc z założenia, że sąd wszelki należy odłożyć do czasu, kiedy dr. Dobrucki przedstawi swój program i choćby w pierwszych swych poczynaniach uwydatni kierunek swej pracy.

Obecnie sąd o ministrze Dobruckim wydać możemy na podstawie wywiadów dziennikarskich, a przedewszystkiem na podstawie zasadniczych, opracowanych przez Ministerstwo W. R. i O. P., a dotyczącyh reformy ustroju szkolnictwa tez i na podstawie dwóch przemówień, wygłoszonych na komisjach w senacie i sejmie.

Tak w tezach, jak i w przemówieniach występuje zasadnicza cecha, która niestety psuje dotychczasową taktykę tak gorących zwolenników, jak i gorących przeciwników radykalnej reformy ustroju szkolnego. Cechą tą jest zasada oględności, stopniowości i ewolucyjności w przekształcaniu szkolnictwa, zasada gruntownego przygotowania reformy, a nie nagłych zmian. Cechy te tkwiły już w przemówieniach prof. Bartla, ale minister Dobrucki specjalnie silnie je podkreślił, zaznaczając kilkakrotnie aż nadto dobitnie, że znajdujemy się jeszcze wciąż w stadjum przygotowań i badań. Wyraźnie ten charakter prac ministerjalnych stwierdza w mowie, wygłoszonej w komisji senatu, zaznaczając, że „ustaliła się w ministerstwie opinja, że organizacja szkolnictwa powinna być aktem b. dokładnie przestudjowanym i że wydelegowano z łona ministerstwa ludzi specjalnie oddających się studjom nad ustrojem szkolnictwa, aby dokonali robót wstępnych", a nadto: „wszystkie wiadomości o tem, jakoby sprawa była już w tym czy owym kierunku rozstrzygnięta, są przedwczesne", wreszcie zaś: reforma „dokonać się ma w szeregu lat w całem państwie, lecz w miarę rozwoju z jednej strony szkoły powszechnej, a z drugiej odpowiedniego przygotowania materjału nauczycielskiego". Jeśli się do tego doda, że minister Dobrucki jest zwolennikiem zwołania ankiety i powołania do życia Rady Wychowania Narodowego, które mają wydać swoją opinję o przygotowanych przez ministerstwo tezach, to w jakiem świetle przedstawią się najrozmaitsze alarmy na trwogę w niektórych pismach i pełne demagogji, a nawet osobistych inwektyw i kłamstw ataki? Zdaje się, że lojalność rządu w stosunku do społeczeństwa w dziedzinie reformy szkolnej jest bez zarzutu. O tem zatem, czy siedmioklasowa szkoła powszechna jako ideał, a siedmioletnie nauczanie jako zasada, mają się stać podbudową ustroju szkolnego, czy na niej ma się oprzeć trzy lub czteroklasowa szkoła średnia, a na niej dwuklasowe gimnazjum, czy i jakie mają być egzaminy wstępne lub dojrzałości, jaki ma być stosunek do szkół zawodowych, czy można w pewnych wypadkach umożliwić wstęp do wyższych uczelni i ludziom, którzy nie ukończyli gimnazjum, jakie uprawnienia uzyskają poszczególne szkoły i t. d. — o tem wszystkiem zadecyduje dopiero Rada Wychowania Narodowego i ciała ustawodawcze.

Ta sama oględność w traktowaniu spraw, a zwłaszcza dążność do pogodzenia interesów społeczeństwa z interesami państwa, cechuje ministra Dobruckiego i w stosunku do szeregu innych zagadnień, które obejmują jednak prawie całokształt zagadnień szkolnych. Zdaje sobie zatem sprawę z ograniczoności budżetu szkolnego w stosunku do potrzeb, lecz podkreśla konieczność oszczędności ze względu na stan państwa. Rozumie jednak, że obowiązki państwa wobec wzrostu liczby dzieci w wieku szkolnym muszą znacznie się zwiększyć w najbliższych latach. Sprawę przygotowania potrzebnych kadr nauczycielskich pragnie rozwiązać nietylko przy pomocy seminarjów, lecz również przez stworzenie studjów pedagogicznych, na które przyjmować się będzie abiturjentów szkół średnich. Jak wiadomo, pogląd możliwie jak najwyższego przygotowania nauczycielstwa zdobywa coraz więcej zwolenników jako pogląd najbardziej racjonalny.

Specjalnie ważny jest stosunek nowego ministra do średniego szkolnictwa prywatnego tak polskiego jak mniejszościowego. Nie rezygnując z prawa nadzoru nad szkolnictwem prywatnem, nie chce go specjalnie krępować w zakresie programów szkolnych i metod nauczania, a nawet zdaje sobie sprawę z konieczności przyjścia mu z pomocą w miarę środków i możności. Co do szkół mniejszości narodowych, to uznając prawo ich do istnienia i poparcia ze strony rządu, wyznaje, wypowiedziany swego czasu na łamach „Prawdy", pogląd, że opieka rządu nie może się objawiać odrazu w zakładaniu szkół państwowych, ale mniejszości narodowe same powinny dać dowód swych potrzeb kulturalnych przez powoływanie do życia szkół prywatnych. Lojalność zaś rządu w stosunku do szkół mniejszości wyraża dobitnie zdanie, że szkoły te „wykazują nieraz tak niski poziom, że gdyby były szkołami polskiemi, musiałyby być zwinięte". Lojalność rządu przejawiła się również w dopuszczeniu w pewnych wypadkach języka niepolskiego przy egzaminach dla eksternów. Żąda jednak minister Dobrucki, aby programy szkół mniejszości nie przeciążały młodzieży przez zbytnie rozszerzenie swego zakresu.

Dla nauczycielstwa szkół średnich, jak wogóle dla szkół prywatnych, specjalnie ważne znaczenie ma zapowiedź wprowadzenia w całej Polsce jawności wizytacji, którą już w niektórych kuratorjach, jak np. w Kuratorjum łódzkiem, od dłuższego czasu się stosuje.

W stosunku do szkół wyższych zapowiedział minister Dobrucki rewizję uprawnień administracyjnych, nie tając się z tem, że obok spraw ściśle administracyjnych wejdzie w to tak drażliwa kwestja „numerus clausus". Jeśli do tego dodamy sprawę uniwersytetu ukraińskiego, co do którego jako do sprawy politycznej odpowiednie postanowienia ma powziąć cały rząd, to przekonamy się, że obecny minister, nie lekceważąc innych zagadnień, specjalnie zajął się obok reformy szkolnictwa stosunkiem do mniejszości, że pragnie wreszcie rozwiązać te niezawsze jasno i niezawsze zgodnie z interesem państwa załatwiane, a tak przecież doniosłe dla państwa zagadnienia. Odkładanie ich, załatwianie ich połowiczne i niezawsze szczere najbardziej utrudniało ułożenie prawidłowych stosunków. To też inicjatywę w tym kierunku powitać należy jak najprzychylniej. Sądzimy zaś, że dr. Dobrucki, znający dobrze stosunki ukraińsko-polskie, a nadto polsko-żydowskie, o których swego czasu obszernie i ciekawie pisał na łamach stanisławowskiej „Rewery", potrafi zająć stanowisko rzeczowe i pogodzić interesy mniejszości z interesem państwa. Miejmy zaś nadzieję, że oględność i rozwaga, którą wykazał już w swych dotychczasowych poczynaniach, uchroni go od niebezpiecznych dla państwa eksperymentów.

Z innych spraw podkreślić należy lojalność wobec zawartego, na warunkach przez dawne rządy opracowanych, konkordatu, a nadto zapowiedź jednolitego załatwienia spraw żydowskich gmin wyznaniowych.

Jak z tego zatem widzimy na pierwszy plan swego programu wysunął minister Dobrucki sprawy najtrudniejsze i dla życia państwowego i narodowego najistotniejsze, jako metodę zaś pracy przyjął oględność i rozwagę, a przytem lojalność wobec społeczeństwa, które jednak winno się poddać najwyższemu nakazowi, jakim jest dobro i interes Państwa.

Nik.

Jest ono tem charakterystyczniejsze, że obejmuje *sferę konsumcji widocznej szerszemu towarzyskiemu i publicznemu życiu* (ubrania, przyjęcia, zabawy), wiążąc się jednocześnie z obniżeniem ściśle domowego spożycia, wymykającego się opinji publicznej (Veblen).

Po zaspokojeniu elementarnych potrzeb olbrzymia część dochodów idzie na zaspokojenie tej dążności (Veblen). I wszelka gospodarcza sytuacja, która sprzyja zwiększeniu konsumcji, a taką par excellence jest inflacja, pociąga za sobą przedewszystkiem zwiększenie spożycia, służącego zaspokojeniu pragnienia wyróżnienia się przez kosztowność stopy życiowej.

Inflacja sprowadza zanik oszczędności. Oszczędność jest zawsze połączona z przykrym wysiłkiem, domaga się od człowieka przezwyciężenia dążności do wystawności spożycia. Niemożliwość oszczędzania wskutek spadku pieniądza zwiększa wystawność spożycia. Inflacja wywołuje zupełnie naturalnie wzrost konsumcji przedmiotów zbytku i, co więcej, daje moralne jego usprawiedliwienie przez uniemożliwienie, a w każdym razie utrudnienie oszczędzania.

Jedynym czynnikiem, przeciwdziałającym powyższemu skutkowi inflacji, jest obyczajowość i moralność grupy, a przedewszystkiem jej *kultura demokratyczna.* Jeżeli obyczaje i ideały grupy są przeniknięte urokiem wyższości, jaką daje możność płacenia i niepracowania, jeżeli społeczeństwo jest rozdzielane, wynikającymi stąd, antagonizmami i nie posiada silnie rozwiniętej świadomości stanowienia kulturalnej całości oraz poczucia zbiorowej odpowiedzialności za losy grupy, to wszystkie warunki sprzyjają wzrostowi wystawnej konsumcji.

W naszych warunkach, przy żywych jeszcze tradycjach szlachetczyzny, przy kulcie próżniactwa, pańskości i serwilizmie jednocześnie, przy tak niskiej publicznej moralności i różnorodnym składzie etnicznym i kulturalnym, inflacja musiała doprowadzić do *snobizmu w konsumcji prywatnej i publicznej,* na jaki patrzymy.

Ostatecznie więc trwałym nabytkiem okresu spadku waluty jest podniesienie stopy życiowej nie w dziedzinie wygody, higjeny, estetyki, ale wystawności, kosztowności, blichtru. Ten skutek inflacji jest tem donioślejszy, że *wiąże się z obniżeniem poziomu prywatnej i publicznej moralności.*

Stopa życiowa jest w dużym stopniu kwestją przyzwyczajenia i obyczajów, podniesienie jej, przy przychylnych sytuacjach gospodarczych dokonywa się bardzo łatwo, obniżenie zawsze niezwykle trudno.

„Wszelka retrogresja w poziomie życia — pisze Veblen — jaki przyzwyczailiśmy się uważać za wartościowy, jest odczuwana jako bolesny gwałt zadany naszej ludzkiej godności". Na karb tego trzeba złożyć dużą część *niezadowolenia w naszem społeczeństwie z sanacyjnych wysiłków rządu.*

Powrócenie do bardziej higjenicznej, moralnej i demokratycznej skali spożycia, wyplenienie snobizmu panoszącego się zarówno w moralności, trybie życia jak i społecznych regułach konsumcji jest kwestją wysiłku moralnego całego społeczeństwa.

J. Chałasiński.

Ze świata

Żebrak w własnym samochodzie

Kto stracił pracę we Florydzie — wybiera się nierzadko do Kanady na poszukiwanie innej. Najczęściej samochodem, bo to i taniej i wygodniej, a nadewszystko praktyczniej. Nie zawsze bowiem szczęście czy sprzyjający przypadek czeka człowieka w miejscowości, posiadającej przystanek kolejowy z dłuższym postojem pociągów.

Farmer w Stanach Zjednoczonych nie dziwi się już, gdy na podwórze zajeżdża Ford albo nawet Studebaker, Buick lub Chandler, z którego wysiada nieogolony, wygłodzony i zbiedzony jegomość i zapytuje o pracę. Stany są wielkie — jakiejś pracy zawsze gdzieś ktoś potrzebuje — jakichś rąk para lub dwie na jakiś czas na każdej farmie jest pożądana.

Tak samo nikt tam się nie dziwi, gdy z przejeżdżającego samochodu usłyszy: „panie — dwa centy na benzynę!"

Podróżowanie w małych samochodach jest znacznie tańsze, niż podróż koleją. System masowej produkcji samochodów sprawił, że nikt nie bawi się w naprawianie bardziej uszkodzonych tanich samochodów. Mocno zużyty lub uszkodzony samochód zostawia się poprostu w rowie lub w jakimś kącie i kupuje się w najbliższym składzie nowy i błyszczący na raty — po kilka dolarów miesięcznie.

Tramp — włóczęga umie radzić sobie z motorem. Zna wszystkie jego tajemnice i ostatnią iskierkę życia i siły wykrzesać z niego potrafi. Potrafi to, o czem nie śniło się szoferom i mechanikom. Zabiera ze śmietnika resztki porzuconego samochodu i robi z tego dla siebie mieszkanie ruchome, tak jak u nas żebrak bezdomny w ruinach i zwaliskach zagnieździć się potrafi. Byle z miejsca ruszyć. Tam na drogach i szosach znajdzie wszystko: zużyte kiszki i opony, podarte poduszki, zniszczone trąbki sygnałowe, zdruzgotane karoserje. Niejeden uruchomił sam zdekompletowane i zdezelowane podwozie, przeżebrał się wzdłuż lub wszerz Stanów i dojechał do miejsca pracy w pięknym, kompletnym i we wszystkie przybory i wygody zaopatrzonym samochodzie.

Na benzynę musi po drodze albo zarobić albo użebrać. W każdym razie z Kanady może znowu zawrócić na południe do Kalifornji, lub Texas, jeśli tam znowu otwiera się możność pracy.

Może to niewiarygodne?

Proszę — czytajcie: W biurach towarzystw dobroczynnych w Stanach Zjednoczonych przedewszystkiem rzucają się w oczy duże plakaty z napisem: „Flivver Hobo otrzymują zasiłek benzynowy tylko wtedy, gdy jadą w towarzystwie żon i nieletnich dzieci". Flivver Hobo — trzeba wiedzieć — ma już i rodzinę.

A Flivver Hobo to nowa nazwa dla trampa Londonowskiego — włóczęga przy sterze samochodowym.

Dawniej gdy London pierwsze swoje nowele pisał — tramp jeździł pod wagonami pulmanowskiemi, wpleciony w gęstwinę resorów, osi, dźwigni hamulcowych i rur ogrzewania: Dziś nazywa się Flivver Hobo i jeździ własnym samochodem. A wszystko w ciągu sześciu lat.

Uhu.

BLACK - BOTTOM.

Black-bottom tańczy się w takcie czteroćwierciowym, rytm nieco wolniejszy niż Charlestona, a nieco żywszy niż blues. Muzyka bardzo obficie synkopowana.

* * *

Black-bottom przywędrował do nas z Ameryki. Sporych parę lat tańczą go tam murzyni, osiedli wzdłuż bagnistych brzegów Mississipi. Poczciwy ten czarny ludek, zmuszony całe życie spędzać w okolicy piaszczystej i bagnistej, bardzo wcześnie zrywa sobie nogi, przy pracy bowiem nogi zapadają się w błotnistym, mulistym gruncie powyżej kostek.

Okoliczność ta uczyniła charakterystycznym ich chód. Nawet na twardym gruncie chodzą tak, jakby z wysiłkiem wyciągali nogi z mułu. Trwało to dziesiątki i setki lat, stało się więc właściwością, charakterystyczną cechą tego czarnego ludu. Każcie takiemu murzynowi biegać po asfalcie ulicy lub po posadzce — macie klasyczny black-bottom.

Podpatrzyła to jakaś ekscentryczna gwiazda amerykańska, dopatrzyła się rytmu — a jak twierdzi — nawet głębszej jakiejś myśli, wróciła do New-Jorku i stworzyła nowy taniec.

Nauczyciel tańców, który chciałby nauczać tajników black-bottoma metodą racjonalną powinien zamiast sali wynająć sobie kawałek bagnistego gruntu.

* * *

SMACZNEGO.

W jednym z klasztorów budejskich w Tybecie gotują mnisi co siedem lat specjalną zupę z ziół, która ma mieć moc oczyszczania ze wszystkich grzechów.

Zupę gotuje się i przyprawia w dużym kotle. W pewnym momencie w czasie przygotowywania zupy wchodzi do kotła najstarszy kapłan i kąpie się w zupie. Ceremonja ta nadaje zupie ową cudowną moc.

Tłumy wiernych wędrują rok rocznie do klasztoru po łyk tej zupy.

* * *

Ogon krokodyli przypomina w smaku dziki drób. Spożywać można tylko ogony młodych krokodyli.

* * *

Mięso ze słonia, jeśli dobrze wysmażone, smakuje jak befsztyk. Słoń nie może jednak być za stary. Poleca się zwłaszcza mięso z karku młodego słonia indyjskiego.

* * *

Kilka specjałów chińskich: suszone szczury, zalecane pozatem jako smakołyk, wpływający na porost włosów, białe myszy natychmiast po urodzeniu, oblane syropem cukrowym — łyka się je jak ostrygi, gotowane mięso kotów — zalecane także jako środek przeciw febrze. W Mongolji za smakołyk uchodzą jaja, leżące po kilkanaście lat w wapnie. Z mchu przyrządzają w południowo-wschodniej Syberji smaczną jarzynę.

* * *

Dr. Homaday, dyrektor nowojorskiego zwierzyńca, kosztował w celach doświadczalnych wielu najrozmaitszych potraw. Między innemi jadł mięso świnek morskich, mięso pewnego gatunku polipa morskiego — Oktopus'a — które zdaniem jego przypomina smak solonej opony samochodowej, mięso kilkunastu rodzajów małp, mięso z grzechotnika, pasztet z mrówkojada, i pieczone jaszczurki — rzekomo bardzo smaczne i nie do odróżnienia od kurcząt.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Awanturnicze życie

(„La vie aventureuse de Jean-Arthur Rimbaud" — Jean-Marie Carré — 2 tom cyklu: „Le roman des grandes existences" — Wyd. Librairie Plon, Paris, 1926).

Od pewnego czasu, na paryskim rynku wydawniczym jęły się ukazywać masowo życiorysy wielkich ludzi, ujęte w formę anegdotyczną, powieściową, notujące każdy, najintymniejszy epizod życiowy wielkiego człowieka, wciskające się wszędzie z gorączką sumiennego badacza - obserwatora.

Nie zdziwi nas ta moda na życiorysy powieściowe, gdy zapoznamy się bliżej z treścią beletrystycznych nowości francuskich.

Co druga, co trzecia powieść czyni wrażenie pamiętnika, spowiedzi autorskiej, szczerej, otwartej, nieznającej wstydu, nieuznającej osobistego podwórka, na które nawet w imieniu sztuki: wstęp obcym wzbroniony!

— Macie mnie całego! Podziwiajcie, pogardzajcie, lekceważcie lub litujcie się, ale proszę was o stwierdzenie, że życie swoje, przelewając na papier, skonstruowałem znakomicie!

Exhibicjonizm? — Muszę stwierdzić, że jeśli podejmuję się tego zadania, talent nierozwinięty jeszcze, pół-krwi — określenie powyższe nasuwa się w pierwszym rzędzie na myśl.

Zeszedłem z tematu. Może kiedyś do niego powrócę.

Życiorysy powieściowe wielkich ludzi weszły w modę. Lady wspaniałych księgarń paryskich są zarzucone otrzepanemi z kurzu, jakiemiś przedwiecznemi monografjami, ploteczkami, pamiętnikami. Wyciągnięto trupy wielkich, aby przed oczami współczesnych odegrały jeszcze raz komedję, tragedję czy farsę swego minionego życia.

Na czoło, podobnych wydawnictw, wysunęła się księgarnia „Plon", rzucając na pierwszy ogień życie tego, którym do dziś dnia zajmują się żywo we Francji, a dzięki Żeleńskiemu, powoli i u nas. A więc: „La prodigieuse vie d'Honoré de Balzac" — napisaną przez René Benjamin'a. Następnie poszedł Rimbaud (Carré), „La vie paresseuse de Rivarol" (Louis Latzarus), i „Le roman de François Villon" (Francis Carco); w przygotowaniu Descartes (Louis Dimier) i „La vie douloureuse de Baudelaire" (François Porché). Oto książki jednej tylko placówki wydawniczej.

Niejednokrotnie wspominano już w prasie codziennej i fachowej o książce Carré'go, opisującej życie „wiecznego rebeljanta, nieuznającego skruchy do końca swego życia" — Jana Artura Rimbaud'a.

Nie chcę powtarzać, chcę jeno dorzucić parę spostrzeżeń, aby czytelnik polski wiedział, że prócz „Garçonne'ki" i „Wydrążonej iglicy", są książki francuskie, które kupić i poznać warto, a półeczka wzdychająca ciężko pod Decobrą czy Margueritte'm, nie zawstydzi się tego życiorysu, który czyta się jednym tchem, jako bardzo ciekawą powieść psychologiczną.

Awanturnicze życie? Określenie za słabe, niemalujące wyraziście faktycznego stanu rzeczy. Tęsknota, tęsknota za szeroką przestrzenią, za włóczęgą, za potężnym haustem powietrza, które, trzeba to czuć, wyraźnie odczuwać, wieje ze wszystkich dalekich, nieznanych jeszcze stron świata.

I ciągle ta gorączka podróży, to wieczne globtrotterstwo, które każe złamanemu, choremu Rimbaud'owi, leżącemu, jak kłoda, na łóżku szpitalnem w Marsylji — prosić o przewiezienie go wózkiem na pokład statku, odchodzącego do Afryki.

— „Cóż powiedzieć o jego życiu?" — zapytuje autor w przedmowie.

„Czyż znalazłoby się podobnie burzliwe, zagadkowe. nadzwyczajne? Czegoż nie pisano już o nim, o jego charakterze i przeznaczeniu? Z piekła, czy z nieba przybył? Wybranym był, czy potępionym? Kimże był: aniołem, czy djabłem? Zapewne i tym, i tym, a więc człowiekiem..."

Jean - Marie Carré w pełnem świetle ukazuje całe bujne, nieokiełznane, dyszące wiecznem: dalej! dalej! — życie Rimbaud'a.

Miał wiarę — porzucił ją we wczesnej młodości; miał wiernego, oddanego sobie przyjaciela w Verlain'ie — osadził go w więzieniu, oderwał od żony, zniszczył moralnie i materjalnie; miał niebywały talent — zapomniał o nim, mieniając papierową poezję na zuchwałą własnego życia; miał żonę — nawet niewiadomo, co się z nią stało.

Za pogrzebem jego szły tylko dwie osoby: matka i siostra.

Umarł, mając lat zaledwie trzydzieści siedem. Przez lata te przewędrował pieszo przez Francję, Belgję, Włochy, był parokrotnie w Londynie, pracował w kamieniołomach wschodniej Afryki jako prosty robotnik, ostatnich lat parę swego życia spędził w Etjopji, jako kupiec i eksploatator.

Może dlatego, że życie jego tak bardzo było różnolite i kolorowe, wydaje się nam ono jakąś fabułą powieściową, którą autor splątał, pogmatwał ku zaciekawieniu czytelnika. A to tylko [illegible], na dokumentach oparty, obraz ży[illegible].

I za to ży[illegible] właśnie stosunek czytelnika do Rimbaud'a może się ujawnić tylko w dwóch uczuciach: nienawiści lub pełnej, gorącej sympatji.

A jakaż radość z tego życiorysu dla psychoanalityka!

Poprzestańmy na tem.

Konkluzja: moda na życiorysy zwyciężyła.

Zwyciężyć musiała dlatego, że ludzie są tylko ludźmi i chociażby nawet „delikatni i subtelni", lubią patrzeć na cierpienie i ból innych, na zmagania beznadziejne z losem; lubią obserwować te sprawy, które ich nie dotyczą, a są wszystkiem dla obserwowanego; lubią patrzeć przez dziurkę od klucza do nieswego pokoju i czytać listy niepisane do siebie. W tym wypadku sprawa jest ułatwiona: nikt nosa drzwiami nie przytnie, nikt nie zarzuci nietaktu, czy braku subtelności — przeciwnie Jan-Marja Carré objaśni, wyświetli, wyłuszczy fakt po fakcie, aż do samego końca.

Zwrócę uwagę jeszcze na wykaz bibljograficzny przy końcu książki, obejmujący dzieła Rimbaud'a, biografję, dokumenty, szkice krytyczne o poecie w wydaniach książkowych i artykułach rozrzuconych po czasopismach literackich.

Niewiadomo dlaczego nasi pisarze wystrzegają się jak ognia podobnych koniecznych i zrozumiałych dopełnień.

Stefan H.-P.

Z dynastji Mannów

(Klaus Mann — „Kindernovelle" — Verlag Gebr. Enoch — Hamburg I. — Str. 109. c. 2. opr. 3.50 M.).

Do niedawna jeszcze obowiązywała w nauce o dziedziczeniu, bez zastrzeżeń, teza, że tylko cechy przyrodzone, a nie indywidualnie nabyte przechodzą z rodziców na dzieci. Wszechwładna dzisiaj teorja względności i w tym atoli aksjomacie zrobiła wyłom. Nowsi badacze nietylko postawili hipotezę o dziedziczeniu także i cech nabytych, ale dużym materjałem dowodowym tezę swą potwierdzili. Żywym tego przykładem zdaje się być niemiecka rodzina pisarska Mannów. Tomasz Mann (laureat Nobla) i Henryk Mann to bracia, a Klaus Mann jest synem Henryka.

Przyznam się szczerze: zasiadłem do czytania „Kindernovelli" Klausa Manna, antycypując rozczarowanie, bo synowie Daudetów, Segantinich, Böcklinów niebardzo nową potwierdzają teorję. I rozczarowałem się ale — na awantaż. Nowela młodego Manna jest pieścidełkiem, które chłonie się „duszkiem". Trudno naprawdę czytanie przerwać. Tematowo rzecz zatrąca o Bandrowskiego „Miasto mojej matki", ale nastrojem i tempem od siebie one dalekie. To zresztą zrozumiałe; junactwo i męskość utworu Bandrowskiego wynikają stąd, że nastrój rodzinny urabiają sami chłopcy i to rozwichrzeni chłopcy polscy, zaś liryzm i zaduma Manna stąd, że obok chłopców chowają się i dziewuszki, a wszystko to razem sprawniej utresowane dzieci niemieckie.

Osnowa sama przez się subtelna więc literacko niebezpieczna; z życia i przeżyć czworga dzieci, niżej lat dziesięciu, których piękna a smutna matka jest mało matką, dzieciom często obcą, a ojciec już nie żyje, stwarza poeta idyllę pełną cichego czaru i muzyki. Jest w niej wiośniany wdzięk Kellermanowskiej Ingeborgi, szczera poezja i ciepło odczucia. W wnikliwością malarską odtwarza Mann najwątlejsze nastroje; uśmiech, spojrzenie, gest, grymas, ruch, błysk myśli na czole. Celuje właśnie w plastyce takich efemerycznych, a jednak dla akcji mocno istotnych zjawisk. W idyllę wpleciono krótki a czarowny romans Krystyny (matki wspomnianych dzieci) z 22-letnim Tillem. Moc suggestywna tego zmysłowego epizodu jest wstrząsającą. Utwór niema w sobie nic z niemieckiej ciężkości, wart jest nietylko czytania, ale i spolszczenia.

Nowela poświęcona f r a n c u s k i e m u poecie Rene'mu Crevelemu — co dla dzisiejszych prądów w piśmiennictwie niemieckiem jest wielce znamiennem, a wydana z niezwykłym smakiem bibljograficznym; papier, druk, układ, oprawa, wszystko — śliczne.

(Zakopane).

Dr. Seweryn Gottlieb.

Powieść internacjonalna

Zofja Nałkowska jest dziś nietylko najwybitniejszą powieściopisarką polską, ale jednym z najwybitniejszych talentów wśród współczesnych naszych beletrystów. Twórczość jej po wojnie, zapoczątkowana „wojenną" powieścią: „Hrabia Emil", nabrała cech odmiennych. Spokój w opanowaniu tematu, wnikliwość psychologiczna obok wybornych zdolności obserwacji dają w jej powieściach niemal epickie efekty. Nałkowska, odrzuciwszy bezpotrzebne zdobnictwo słowa, potrafi dziś, operując artystyczną prostotą, wypowiedzieć się jasno i precyzyjnie.

Rozszerzyła się też skala zainteresowań autorki, gdyż, zagarniając obok dziedzin społecznych również i polityczne kwestje, poddaje analizie te sprawy, które są niby groźne mury, podłożone pod fundamenty powojennego świata. Osobiste życie człowieka splotło się dziś z temi zagadnieniami tak silnie, że powstać musiały nowe formy psychicznych konfliktów. Nadludzki wysiłek społeczeństw, narodów, państw, owa wielka wojna, której podświadomem może dążeniem było rozstrzygnięcie prastarych, geologicznie jakby nawarstwowionych krzywd i niesprawiedliwości, ta hekatomba krwi i mienia, złożona ofiarnie i ponad wszelkie rachuby — posłusznie, dała jednak rezultaty niewystarczające. Ludzie, zwłaszcza Europy, odczuwają ową niespółmierność i dlatego epokę współczesną charakteryzuje typ człowieka, szarpanego bólami ogólnoludzkiemi. Narody, walcząc i nadal, mimo traktatów, o trwałą i rzetelną linję graniczną swoich terytorjów, w istocie jednak zbliżyły się bardziej ku sobie, zrozumiawszy się wzajem i przeniknąwszy tajniki pospólnych ideałów, pragnień, dążeń. Zanika zwolna „obcość", bo nawet wrogie zamierzenia, nawet szowinizm ma dziś znane powszechnie cechy i metody. A wiadomo przecież, że zjawiska, które się zna, przestają budzić niepokój. I dlatego też pozwolę sobie na paradoks: „Nieprzyjaciele, którzy poznali swoje wzajemne metody i atuty są w przededniu zawarcia długotrwałej zgody".

I właśnie ta gra międzynarodowa, która rozgrywa się dziś na ponurem tle onegdajszych wojennych zapasów, gra rozpowszechniona, popularna a tak bardzo emocjonująca — jest tematem ostatniej powieści Nałkowskiej: „*Choucas*" (Nakład Gebethnera i Wolffa). Autorka nazwała ją „powieścią internacjonalną", wskazując odrazu na swoją myśl przewodnią, czy też na tendencję, zawartą w tych zapiskach obserwatora.

W górskiej miejscowości leczniczej nad Lemanem, w pensjonacie, do którego zbiegli się, czy też zwlekli ludzie z rozmaitych stron i krajów, splotły się wydarzenia i przeżycia, wytworzyły się kombinacje uczuciowe, potoczyły się rozmowy zasadnicze, dyskusje, oskarżenia i wynurzenia. Niema więc w tej powieści jakiejś zamkniętej konstrukcji fabularnej, jakiejś budowy wykończonej, zepilogowanej. Autorka tłumaczy się zresztą z tego „wykroczenia" przeciw przyjętym kanonom powieściowym: „Żegnając tamto miejsce, myślałam sobie, że w biegu życia nie można wyróżnić jakiegoś początku i końca, że nic nie da się twardo zamknąć w swoje dzieje. Każda rzecz sięga przed swój początek i wyrasta poza swój koniec, toczy się i przeplata z innemi. Że wszystko w życiu raczej trwa, niż zaczyna się i kończy".

Trwanie, czyli wieczysta płynność życia, ten pantareizm, urągający wszelakiej skończoności form, jest jednak w istocie swej realnym obrazem, powiedzmy, filmem życia, w którym każdy z nas może odegrać rolę czynną i bierną, główną i podrzędną. Dzięki temu konfiguracja wydarzeń, przygód, przeżyć jest tak rozmaita i niespodziana. Widzimy to „naocznie" na tym odcinku, a raczej na tej minjaturze, jaką jest sanatorjum, dokąd każdy z gości przyniósł ze sobą swój wątek przeżyć, by go tu snuć dalej w odmiennych okolicznościach, wśród innego pejzażu, innej przyrody i innych, dopiero co poznanych ludzi. Nikt jednak nie zatraca swojej, uprzednio nabytej treści. Niby na sieci pajęczej zwęźlają się dróżki nitek, tworząc wspólnemi siłami rysuneczek, by znowu, gdy przyjdzie pora, wybiec nazewnątrz i znaczyć drogę swego życia na rozbieżnej linji, dążącej na spotkanie nowych zwęźleń.

Przed kilku laty dużo hałasu narobiła w Niemczech powieść H. Manna „Der Zauberberg", której akcja rozgrywa się w Davos. Czytając powieść Nałkowskiej, uległam, bezpotrzebnej zresztą, lecz nawykowej metodzie porównawczej, wywołanej w tym wypadku zewnętrznem raczej podobieństwem tła, podobieństwem lokalnem. Powieść Manna wzbudziła bowiem szczególne zainteresowanie w sferach — lekarskich, wywołując podziw dla intuicji artysty i jego psychoanalitycznych, niemal rewelacyjnych odkryć. Lecz obok tych Freudowskich badań duszy bohaterów, trawionych gruźlicą, autor — a dzieje się to w przededniu wojny — rozważa problemy społeczne, narodowościowe, polityczne i religijne, aby wreszcie wyzwolić i rzec można oczyścić bohatera w czynie wojennym. Wojna bowiem spełnia nietylko ablucyjne dzieło, ale w jej pożarze krzepnie i hartuje się zarówno dusza jak i ciało.

Do innych, tak bardzo innych wniosków dochodzi Nałkowska. Rozumie ona doskonale Niemca Fuchsa, tę tragedję zwyciężonego, obnoszącego w zagruźliczonych tkankach pragnienie odwetu i ból zranionej ambicji, rozumie niewygasłą nigdy nienawiść Francuza Verdy'ego, który stracił syna na wojnie z Niemcami. Rozumie mękę tej grupy pacjentów Armeńczyków, którzy przeszli najgorsze katusze w swojej ojczyźnie, ominiętej, zapomnianej przy zielonym stole traktatowym. „Jeden naród nie powinien uciskać drugiego" powtarza raz poraz Armenka panna Hovsephian. Słowa te, mieszczące w sobie może najwyższą rację międzynarodową, brzmią jednak dziwnie nieśmiało i naiwnie, są bowiem jeszcze jednem przykazaniem, którego ludzkość nie ma zamiaru wykonać.

„Sztuka" krakowska w Warszawie

Krótkie charakterystyki artystów, biorących udział w wystawie i ich dzieł.

Malarstwo w Polsce rozwija się w nader ciężkich warunkach. Prawie od samego swego początku bez niczyjego poparcia, bez żadnej możliwej do rozwoju atmosfery, zwalczane przez swoich, obojętnie przyjmowane przez obcych(rzecz naturalna), idzie w ciężkim trudzie swoją, zaiste krzyżową, drogą.

Gdy malarz obcy wszędzie, w każdem większem mieście swego kraju, znajduje muzea, zapełnione dziełami starych mistrzów, gdzie przez całe swe życie szuka z niemi kontaktu, u nas, malarz polski, siedząc w swoim kraju, siedzi, właściwie mówiąc na pustyni, nie ma wokoło niczego, z czemby mógł porównać, nie znajduje nic takiego, co by było dlań kamertonem, lub — natchnieniem.

W roku 1843 Piotr Michałowski, najgenjalniejszy może malarz polski, udał się (w 42 roku swego życia) na studja do Paryża. Pisał stamtąd: „Widziałem tu wiele pięknych rzeczy, *zapalających* do roboty...", a parę lat wcześniej, będąc w Wiedniu, z zapałem studjował obrazy starych mistrzów, które mu „czasem wysoko wiszące, na dół znoszono...

Tak, jak swego czasu Michałowski, tak i dzisiaj każdy malarz polski ciągnie staremi szlakami, zdobywając za swoje, ciężko zarobione grosze wiedzę, którą przezorniejsze i roztropniejsze społeczeństwa potrafiły u siebie zgromadzić.

Jednakże takie wypady za granice państwa, z konieczności muszą być rzadkie i też nie dają tego, coby dać mogły muzea na miejscu istniejące, dostępne dla artysty w każdej chwili jego wątpliwości, lub zgubienia — *wielkiego tropu.*

* * *

Powyższe nie jest bynajmniej aluzją do otwartej obecnie w „Zachęcie" wystawy „Sztuki" krakowskiej.

Przeciwnie, jest to podkreślenie, zrobione po to, aby zawsze niezadowolony, polski „miłośnik" sztuk pięknych, zorjentował się, jak bez jego pomocy, jak, bez żadnego zainteresowania społeczeństwa, zajętego i przejętego dancingami, rozwija się, mimo wszystko, Sztuka Polska.

Wystawa „Sztuki" krakowskiej ma wysoki poziom artystyczny, bardzo rzadko spotykany na wystawach „Zachęty". Wystawione dzieła, w trzech czwartych są stworzone na podstawie wielkich wysiłków twórczych. Są to rzeczy o zdecydowanej fizjonomji, często mocne i ciekawe.

Jako całość wystawa „Sztuki" wyraźnego oblicza nie ma. Obok Zbigniewa Pronaszki jest Axentowicz, obok Pautscha — Mehoffer, obok Sichulskiego — Markowicz. Z tego powodu jeden obraz nie popiera, a zaprzecza drugiemu. Jak się zgodzimy na Pronaszkę, zirytujemy się na Axentowicza, jak przypadnie nam do serca Mehoffer, będziemy źli na Pautscha.

Jeszcze bardziej dezorjentuje widza sposób rozmieszczenia obrazów, przemieszanych ze sobą jak groch z kapustą. Może to lepiej „dekoruje" sale „Zachęty", ale gorzej „pokazuje" każdego z poszczególnych wystawców.

Mehoffer Józef. Postać Marszałka Piłsudskiego należy do tych, już dawno historycznych postaci, których bez pewnego rodzaju patosu malować nie można — nie zachowując jednocześnie doskonałego podobieństwa. Piłsudski u Mehoffera doskonale podobnym nie jest. Pozatem jest to jakiś pomniejszony Piłsudski, jakiś niemożliwie wprost „prywatny". A my znamy wielkiego Piłsudskiego, reprezentującego zawsze cały Naród i do narodu całego należącego.

Krajobrazy Mehoffera są wszystkie do siebie bardzo podobne, bez głębszych różnic i zagadnień kolorystycznych. Są to obrazy opracowane bardzo drobiazgowo, gdzie każda rzecz jest jednakowo ważna i jednakowo uwydatniona. Oko błądzi po całości, niema się o co zaczepić, niema się czem zaciekawić i obojętnieje.

Kamocki St. jest w pracach wystawionych podobny do Mehoffera. Jest świeższy, trochę dalszy, bardziej kolorystyczny, o podobnej jednak technice, ogólnem ujęciu i biędach.

Weiss Wojciech. W pewnym okresie swej twórczości mistrz Jacek Malczewski malował obrazy o takiej nieprawdopodobnej plastyce, że gdyby nie jeszcze bardziej nieprawdopodobny temat, możnaby było malowany objekt wziąć za prawdziwy. Malczewski wykuwał na swój sposób formę. Weiss szukał zawsze koloru. Skąd przy poszukiwaniach kolorystycznych może się wziąć nagle pęd do wydobywania plastyki — naprawdę trudno zgadnąć. W obrazach z aktami kobiet Weiss doszedł do bajecznych złudzeń optyczno-plastycznych — stracił jednak na kolorze i to mocno. Jakże przy nich ciepłym jest i miłym jego pejzaż.

Pieńkowski Ignacy operuje podobnemi skojarzeniami barw jak Weiss — tylko mniej wytrawnie. Pejzaże słonecznej Brazylji Pieńkowskiego, mają mniej słońca niż pejzaże Weiss'a, malowane w Polsce.

Czajkowski St. Jest szary i suchy. Deski chat góralskich, zimny koloryt Zakopanego nie dają może dostatecznych wzruszeń kolorystycznych.

Podgórski St. wystawił niedość może przetrawione prace. St. Stanisławski potrafił z zieleni wydobywać całe gamy.

Pautsch Fryderyk. „Martwa natura" Pautscha jest ładnie skomponowana i ciekawie namalowana. W technice widać wpływy paryskie. Jest to najlepszy na wystawie obraz Pautscha. Czy to indyk, czy stół, czy piec — w obrazie tym — wszystko ma plastykę, a nie jest wypukłe, nie wyrywa się, zachowuje kolor, który się z innemi obok — dobrze komponuje. „Święcenie Ziół" ma tę wadę, że teren, owoce, twarze, ubrania i t. p. posiadają te same elementy barwne. Nie można odróżnić melonu od twarzy. „Stragan" wbija się kantem stołu w żołądek patrzącego.

Jarocki Władysław tak ujmowaniem tematu, jak samym tematem, jak i techniką podobny jest do Pautscha. Typy etnograficzne są inne.

Sichulski Kazimierz należy do dwóch poprzednich — zasadniczo. Świeżo mamy w pamięci jego zbiorową wystawę. „Pokłon trzech króli" można podzielić poziomą linją na dwie połowy. Dolna — to jeszcze Sichulski, górna — to już Wł. Tetmajer z kaplicy Wawelskiej.

Wyczółkowski Leon dał dwa „rysunki tuszem" zrobione z całą właściwą mu wirtuozją. Są to cenne dzieła.

Axentowicz Teodor w kilku swoich pastelach utrzymał dawny swój poziom. Wytwornie malowane kobiety Axentowicza — znalazły już licznych naśladowców.

Markowicz Artur ma specyficzną melancholję żydowskiego ghetta w Krakowie.

Noakowski Stanisław w szarży swego pendzla przypomina Michałowskiego. Jest to ta sama rasa. Michałowskiego szkice tak jak i Noakowskiego, są skończonemi obrazami. Jest to malarz o wielkim zmyśle kolorystycznym i o ogromnej kulturze. Jego architektura jest świetnie zawsze namalowana z całą bezpośredniością i wrażliwością wielkiego artysty.

Pronaszko Zbigniew. Obrazy jego są wzorami kompozycji malarskiej. Każdy z nich ma swe odrębne życie, swój oddzielny ton. Obrazy Pronaszki, a zwłaszcza „Wiolonczelista" i „Owoce" są doskonale zrobionemi amalgamatami dobrze żyjących ze sobą barw. Są namalowane z całą wiedzą malarską, ze smakiem i, przy całej dynamice, — mają spokój. Pronaszko z pośród wystawców jest najbardziej na przodzie; jest, można powiedzieć, najświeższym, najmocniejszym okrzykiem — Wojującej Sztuki.

Szczepkowski Jan „Fragmentem kapliczki" wkracza w dziedzinę strefyzmu, którą to teorję, w chwili wolnej od zajęć, wymyślił malarz i filozof L. Chwistek.

Z braku miejsca nie można o niej opowiedzieć, ale, jak zapewnia autor, po jej zastosowaniu dzieło musi być dobre. Musi — ale nie zawsze jest.

W rzeźbie Szczepkowskiego prawo równowagi utrzymane jest dzięki symetrji, płaszczyzna rzeźby pokrajana jest na kwadraty, co jeszcze nie stanowi kompozycji, a przecinanie figur w połowie — nie tyle mówi o nowoczesności, ile o braku miejsca dla jednych i zrobieniu go dla innych figur.

Dunikowski Ksawery jest natomiast w doskonałej formie. Zmusiło go do tego przeznaczenie. Gdyby Szyszko Bohusz nie zamówił na renesansowy Wawel jednakże w renesans wpadających głów, rzucając na szalę przeznaczeń garść dukatów, Dunikowski dalejby błądził i zaplątywał się w sidła zastawione przez samego siebie, budując niesamowitą teorję rzeźby „prasłowiańskiej". Katastrofa była już blisko, jednak szczęście błysło, przyszedł Bohusz i ocalił Dunikowskiego.

Tak samo kiedyś uczynił Mojżesz z synami Izraela. Z puszczy wywiódł ich w pole. Wiemy czego później dokonali. Dunikowski dokonał olbrzymiej pracy — nad samym sobą.

Główki wawelskie są piękne, a ręce „kobiety" są doskonale przez Dunikowskiego zbudowane.

* * *

Zbiorowa wystawa Jotesa w „Klubie Artystycznym" zawiera około 300 karykatur. Senatorowie: Adam i Lewiński, oraz posłowie: Perl i Średniawski — to najlepsze rysunki na wystawie.

Grek.

Bibljoteka mózgów

W Berlinie istnieje największy i najlepiej w świecie zorganizowany zakład naukowego badania mózgów, połączony z olbrzymiem archiwum mózgów.

Bibljoteką mózgów nazywa się „Kaiser Wilhelm Institut für Gehirnforschung" — zakład do naukowych badań nad mózgiem w Berlinie, mieszczący się w oddzielnym — niepokaźnym zresztą — gmachu w okolicy placu Magdeburskiego.

Z najdalszych stron świata posyła się do tego instytutu mózgi ludzi i zwierząt. Ludzkie ze szpitali, zwierzęce z ogrodów zoologicznych. Jeśli np. w szpitalu dla umysłowo chorych w Lizbonie umrze człowiek wśród objawów rzadkiej i niezbadanej jeszcze dokładnie choroby, jeśli gdzieś we Włoszech w zwierzyńcu zdechnie jakiś rzadki okaz małpy — po pewnym czasie pocztą w szczelnie zalutowanej puszce przychodzi do „bibljoteki" mózg nieboszczyka. W ten sposób zbiera się materjał do badań nad tym, najbardziej tajemniczym organem.

Zanim można przystąpić do naukowego badania przysłanego okazu, musi być wykonana olbrzymia i długotrwała praca przygotowawcza.

Mózg, wyjęty z czaszki jest miękki i już, aby go wysłać, musi być poddany działaniu formaliny dla stwardnięcia. Proces ten stosowany jest w dalszym ciągu w zakładzie. Stwardniały już nieco mózg kroi się na 2, 4, lub 5 części, zależnie od tego, jakiego rodzaju badania mikroskopowe mają być prowadzone. Części te leżą potem przez kilka miesięcy w różnych rozczynach celem dalszego stwardnięcia, które umożliwiłoby dalsze krajanie ich.

Do celów badań mikroskopowych mózg musi być pokrojony z reguły na 10 tysięcy plastrów. Krajanie odbywa się od części tylnej ku przedniej przez cały mózg. Używa się do tego noży precyzyjnych, specjalnie dla krajania mózgów skonstruowanych, t. zw. „mikrotomów". Działają one podobnie jak gilotyna — a półmetrowej długości ostrza potrafią cały mózg pokrajać na plastry o grubości 20 mikronów (1 mikron = 0,001 milim.)

Każdy plaster otrzymuje kolejny numer, a ponieważ przed pokrajaniem mózg został dokładnie zważony, ze wszystkich stron sfotografowany i opisany, można później na zasadzie tego materjału z całą ścisłością stwierdzić, z jakiej części mózgu pochodzi dany plaster.

Po pokrajaniu przystępuje się do zabarwiania plastrów po uprzedniem spreparowaniu plastów w parafinie lub celloidinie, zależnie od zamierzonych badań.

Po zabarwieniu wkleja się plastry balsamem kanadyjskim pomiędzy dwie tafle szklane każdy. Po kilku tygodniach preparaty wysychają i temsamem robota techniczna, która trwa od 1½ do 2 lat przy każdym mózgu jest zakończona.

Mózg stanowi teraz „książkę o 10 tysiącach kart, każda oprawiona między dwiema taflami szkła. To też cały dom jest zapełniony szafami bibljotecznemi, których ciężar jest tak olbrzymi, że nieraz już komisje techniczne musiały wzmacniać mury i sklepienia zakładu.

Zakład posiada już około tysiąca takich tomów mózgowych. Sztab uczonych badaczy pracuje w tej bibljotece, studjując objawy różnych chorób w mózgu, badając jakie zmiany wywołują w tkankach i komórkach materji mózgowej.

Badają ruiny gmachu, z którego uleciał mieszkaniec — myśl, badają każdy zakątek, odsłaniają coraz nowe tajniki i zakamarki tych mieszkań opuszczonych — tajemnicy mieszkańca, który uleciał, nawet odgadnąć nie usiłują.

I może dlatego sale i korytarze tej „bibljoteki" robią na zwiedzającym wrażenie straszliwej beznadziejnej pustki. Straszliwszej niż pustka cmentarna. Dom pełen mózgów, wśród których jak w ponurym labiryncie, w pełnych kościotrupów katakumbach błąka się niedołężna ludzka myśl.

Z zimnych szklanych kart tych niesamowitych książek wieje pustka. Nie, — tutaj tajemnicy jestestwa człowiek nie odkryje.

A przynajmniej nie tak prędko jeszcze zastosuje się do jego błogosławionej mądrości. Każdy z mieszkańców pensjonatu obnosi uporczywie swoją etykietę narodową i polityczną, broniąc zaciekle swego sztandaru, w którego cieniu rozrasta się, krzewi, kona wreszcie cierpienie osobiste, silniejsze i bliższe, a co najważniejsza — międzynarodowe. I dlatego monarchistka i katoliczka pani de Carfort cierpi i płacze nad umierającym Żydem rumuńskim Estem. Dlatego też w rozgwarze różnorakich poglądów politycznych tragedja pani Saint-Albert potoczy się swoją samotną drogą, a umierająca mała Sossé pojmie, że ważniejszy nadewszystko jest „pokój na ziemi" i „ulżenie cierpiącym".

Do tego więc rezultatu zmierza autorka, do wykazania wspólnej wszystkim ludziom niedoli cierpienia, która prędzej jeszcze niż śmierć zaciera różnice pochodzenia, poglądów i wierzeń. „Jednakże — pisze Nałkowska — gdy tam byłam przez te miesiące wśród ludzi, mówiących różnemi językami, to czułam zawsze, że przecież więcej między nimi było rzeczy podobnych, niż niepodobnych. I że to, co było między nimi podobne, było właśnie ważniejsze, było doprawdy — najważniejsze". W wyszukaniu przeto owego podobieństwa, w uczynieniu z niego wspólnej podstawy pożycia narodów leży jakby rozstrzygnięcie też sprawy, którą nazywamy „pokojem na ziemi".

Przychodzi mi właśnie na myśl, że pewne gałęzie nauki, doszukujące się różnicy cech charakterystycznych narodów, ras, plemion, przygotowują znakomicie teren do bratobójczych walk owych narodów, ras i plemion. Czyż więc nie daremny jest trud tych światłych poetów i beletrystów, którzy wskazują na wspólne ludzkie cechy? Najlepsza bowiem i najpiękniejsza powieść nie posiędzie nigdy tej mocy przekonywania, jaką pyszni się najmarniejsza bodaj hypoteza naukowa. Jad Gobineau'a roznamiętni dumę aryjskiego blondyna - germanina i aż do szaleństwa doprowadzi jego zaborczą ambicję, lecz nigdy nie powstrzyma rasowej nienawiści „Jan Krzysztof" Romain Rolanda!

Wracając jednak do pięknej i rozumnej powieści Nałkowskiej, z rozmysłu i tendencyjnie podkreślę raz jeszcze jej głęboką wartość etyczną. Spokojnie, z umiarem i z bezstronnością zajmuje się autorka owemi różnicami, aby właśnie ukazać uważnemu czytelnikowi, że wszystkie konflikty, wszystkie, choćby najkrwawsze nieporozumienia są w istocie swej sztuczną i pełną złośliwości koncepcją, zaś naprawdę żywe i gorące sprawy ludzkie mieszczą się na jednej, wspólnej płaszczyźnie obok siebie. Śmiech i płacz łączą ludzi północy, południa, wschodu i zachodu. Autorka znakomitych „Charakterów" potrafiła i w tej książce dać kolekcję portretów, sylwetek i właśnie „charakterów", aby tem samem jeszcze silniej przekonać nas o prawdzie swoich ogólnoludzkich tez.

Jeżeli dodam jeszcze, że w książce są cudowne opisy przyrody i właściwe autorce ukochanie i zrozumienie psychologji zwierząt — tym razem ptaków — zamknę mój feljeton, dyktowany głęboką admiracją dla twórczych poczynań Nałkowskiej. *J-a Stycz.*

FILM

KRWAWA KOCHANKA.

„Krwawa kochanka" jest najnowszym utworem Jacques Feyder'a, który stworzył sobie w kinematografji imię swoją niezapomnianą „Atlantydą".

Jacques Feyder, nieposkromiony poszukiwacz egzotyzmu w filmie wynalazł dla „Krwawej kochanki" tło o jakiem nawet jej ojciec, t. j. pan Prosper Merimee nigdy nie marzył; albowiem tylko kino ma przywilej dowolnego operowania w czasie i przestrzeni, co potęguje złudzenie prawdy życiowej o wiele silniejsze, niż w lekturze lub na scenie.

Miejscowości wybrane przez realizatora dla zdjęć filmowych czarują wybitnemi cechami andaluzyjskiej przyrody, tworzącej jak gdyby dalszy ciąg pejzaży afrykańskich.

Realizator odtworzył ściśle i skrupulatnie słynną powieść Prospera Merimee ilustrując ją tak, jak nigdy nie była i nie będzie! „Krwawa kochanka" jest arcydziełem sztuki filmowej francuskiej. J. Feyder dał w niej miarę swego talentu, a Raquel Meller dała więcej, bo całą swą duszę. Wielka artystka zdobyła się tu na kreację, pełną wewnętrznej siły i zdumiewającej prawdy. Jej śmierć w ostatnim akcie ma akcent prostoty i realizmu, przejmującego dreszczem. Młody Louis Lerch, jako „drugi" kochanek jest rewelacją: ekran pozyskał w nim amanta, jakiego dotąd rzadko posiadał. Lerch wywiązał się cudownie z olbrzymiej i odpowiedzialnej roli.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Błędy, które należy naprawić

Zerwanie przez Niemcy pertraktacyj handlowych jest dla ekonomiki polskiej symptomatycznym dzwonkiem ostrzegawczym. Następstwem bowiem będzie generalny *atak na kurs złotego*, a pośrednio *próba zachwiania równowagi budżetowej.*

Polski przeto ustrój gospodarczy musi być do tego natarcia w większym stylu przygotowanym. Nie od rzeczy więc jest w obecnej chwili dokonać przeglądu sił, mających temu natarciu stawić czoło.

Jak organizacja siły zbrojnej, przeznaczonej do obrony, musi być *w szczegółach* celowo przygotowana, by zatrzymać przed obronnemi linjami atakującego przeciwnika, tak samo i ustrój gospodarczy kraju.

Europa powojenna coraz wyraziściej upodabnia się do olbrzymiej od zachodu na wschód biegnącej avenue de commerce z uszeregowanemi w szpalerze lokalami sklepowemi gospodarki poszczególnych państw, walczących o równouprawnienie i egzystencję na tych olbrzymich targach ekonomicznego współzawodnictwa. W zapasach tych nie bez znaczenia tuzem jesteśmy dla pewnych koncernów ekonomicznych. Zajmowana przez nas przestrzeń przy owej avenue de commerce krzyżuje fatalnie dalekosięgające kalkulacje i horoskopy różnych zainteresowanych trustów.

Ostać się więc z naszym sklepem, mimo takich zabiegów i zakusów, — znaczy to stać się sumiennymi kalkulatorami produkcji *wzorowo zorganizowanej pracy* o skrzętnie obmyślanych warunkach produkcyjnych.

Szczupłość kapitałów dyspozycyjnych, utrudniająca politykę finansową, zastąpić musi celowo obmyślany ustrój zorganizowanej pracy, pracy spalającej energję zbiorowego wysiłku ekonomicznego państwa, bez reszty i całkowicie.

Wysiłek eksportowy jest w całej pełni niemożliwy, gdyż mamy swoją piętę Achillesa w postaci wysokich kosztów produkcji, mających swoje źródło w zbyt drogiej robociźnie. Objaw handlowo niezdrowy, a przyczynowo nieuzasadniony, gdyż jako państwo rolnicze, a więc dysponujące dosyta paliwem dla silników pracy, posiadać winniśmy korzystne warunki produkcji.

Nasuwa się przeto pytanie, w czem leży hamulec?

Odpowiedź musi brzmieć: w wadliwej — od podstaw do szczytów — organizacji ekonomicznego ustroju państwa i w jej wykładnikach: 1) polityce podatkowej, 2) polityce taryfowej, 3) polityce produkcyjnej, 4) polityce handlowej, 5) polityce celnej, stanowiących pięć kół trybowych, zazębiających się wzajemnie i poruszających motor zorganizowanej pracy państwa.

Polityka podatkowa mija się często z żywotnemi interesami handlu i przemysłu, wytrącając kalkulację z równowagi produkcyjnej rentowności i powstrzymując rozszerzenie rynków zbytu. Zwęża to łożysko handlu, czyni towar nieproporcjonalnie droższym od produkcji zagranicznej, a łącznie z niekorzystną polityką celną, wypływającą z niekorzystnie zawartych traktatów handlowych, *wiedzie do zabójstwa pewnych gałęzi produkcji krajowej.*

Stan ten w konsekwencji uderza rykoszetem w budżet państwa, uszczuplając mu preliminowane jego aktywa.

Dalszym koeficjentem, godzącym w rozkwit i tężenie siły ekonomicznej państwa jest *polityka taryfowa,* o ile nie jest oparta na zasadzie uprzywilejowanego przesuwania pro dukcji krajowej w celach racjonalnego jej zużytkowania.

Plastyczny przykład: Pewien obywatel z ziemi wileńskiej, z Głębokiego, opowiedział mi fakt: mając nadprodukcję jabłek w ubiegłem lecie, zamierzał wysłać je do miasta, gdzie ceny jabłek nieproporcjonalnie do cen miejscowych były wyższe. Uczyniona kalkulacja okazała się, skutkiem *wysokich kosztów przewozowych,* niekorzystna i nierentująca się. Koszta przewozu pochłonęłyby całą wartość towaru, w którym przecież, pomijając zysk, był koszt produkcji. Nie mogąc jabłek tych ulokować, ofiarując je sąsiednim włościanom w handlu zamiennym za kartofle, nawet w stosunku 100 klg. kartofli za 100 (sto!) klg. jabłek, wypadło mu je zużyć na karmę dla świń. *Podobnie nie znalazł zbytu na pomidory, które zużył jako nawóz.*

Rozpisana ankieta z pewnością przysporzyłaby długiej kolumny przykładów, świadczących groźnie o ustroju ekonomicznym, wynikającym z tak nieunormowanej polityki taryfowej. Centra przemysłowe, osiedla ludzkie o znaczniejszem zgęszczeniu ludności, wykazują skutkiem takiego stanu rzeczy — jak wiadomo — wysokie ceny produktów żywnościowych, wpływających walnie na wzrost kosztów robocizny, zaś ośrodki produkujące nadmiar artykułów, zdolnych wpłynąć na obniżenie robocizny, dzięki taryfowym zatorom, nie mogą z niemi trafić do konsumenta, nie mogą w podaży współdziałać.

Tenże obywatel ustalił m. in. cenę szynki na miejscu *do 2 złotych* za klg., podczas gdy w Warszawie sprzedawano ją wówczas *po 6 złotych* za klg. Oscylacja cen o zaiste niezwykłej skali rozpiętości!

A jednak przesunięcia są niemożliwe, gdyż koszta transportowe i podatki państwowe łącznie z miejskiemi na wyroby mięsne nie wytrzymują innej kalkulacji handlowej.

Inny przykład z zakresu organizacji handlowej: pewna firma przemysłowa otrzymała poważne zapytanie z ościennego państwa na większą dostawę. Zanim zdążyła firma ta przesłać ofertę z próbkami towaru, już wywiad handlowy ruchliwego sąsiada, Niemiec, wywęszył zapotrzebowanie i ubiegł ofertę polskiej firmy, wysyłając z centrali swej pocztą lotniczą próby towaru i ofertę, dającą warunki dogodniejsze.

Oby te słowa przyczyniły się w obecnej dobie generalnego, ponownie podjętego szturmu przez naszego sąsiada zachodniego na nasz ustrój gospodarczy, do rewizji naszego programu ekonomicznego, z gruntu i w szczegółach.

Ce-h.

Rynek pieniężny i giełda

Po chwilowej zwyżce dolarów z zeszłej soboty i niedzieli, spowodowanej wiadomością o zerwaniu pertraktacyj handlowych z Niemcami, nastąpiło w tygodniu ubiegłym na prywatnym rynku walut zupełne uspokojenie. Dolary spadły z 8,93 i pół na 8,92 i pół i utrzymały się z nieznacznemi zmianami na tym poziomie. Do ogólnego uspokojenia przyczyniły się pogłoski, jakoby pertraktacje o pożyczkę amerykańską rozwijały się bardzo pomyślnie, co po części zostało potwierdzone przez wiadomość, że rząd wpłynął na Związek Przemysłu Polskiego, ażeby przerwał rokowania z Klopstokiem w sprawie większej pożyczki dla przemysłu. W obrotach międzybankowych dokonywano więcej tranzakcyj kablem na New Jork, za który płacono 8,97 i pół do 8,97. Przy zamianie gotówki na kabel dopłacano 4 i pół promille do nieoficjalnego kursu dolara.

Na giełdzie oficjalnej notowano dolary bez zmiany 8,92, dewizy na New Jork 8,95. Bank Polski płacił nadal za dolary w większych odcinkach 8,90, w banknotach jedno i dwu dolarowych 8,89, za przekazy 8,93. Gram czystego złota notowano 5,9484, kurs obliczeniowy 100 złotych w złocie wynosił 172,69. Za ruble złote płacono 4,71 przy minimalnych obrotach. 100 rubli złotych notowano w tranzakcjach arbitrażowych 52,85 dol. Dewizy europejskie utrzymywały się, podobnie jak New Jork na niezmienionym poziomie, nieco większe wahania wykazywały Medjolan, Zurych i Paryż. Włoski minister finansów zamierza w dalszym ciągu stosować politykę deflacji i niedopuścić do wahań waluty italskiej. Wewnętrzna pożyczka włoska, t. zw. liktorowa, osiągnęła bardzo poważny sukces. Subskrypcja została już ukończona i według dotychczasowych danych, osiągnęła około 3 miljardów lirów. Pożyczka ta będzie użyta w pierwszym rzędzie na uregulowanie długu wewnętrznego następnie zaś na kredyty dla przemysłu i handlu. Rząd francuski zamierza w najbliższym czasie przeprowadzić zupełną stabilizację waluty, nie narażając jednak kraju na zbyt wielkie wstrząsy. Bank Francuski posiada obecnie tak wielkie zapasy walut obcych, że wszelka zniżka franka jest wykluczona. Wobec podniesienia się poziomu cen od jesieni u. r. dzisiejszy kurs franka jest dla przemysłu uciążliwy, gdyż daje premję impor tową, psując przytem eksport.

Według ostatnich wiadomości ma szwajcarski bank, Kreditanstalt w Zurychu, objąć w najbliższych dniach wyrobienie pożyczki dla Banku Francuskiego w wysokści 130 miljonów franków szwajcarskich przy kursie emisyjnym 94 i pół, stopie procentowej 7 rocznie i terminem 25-letnim.

Obrót dzienny na warszawskiej giełdzie dewiz wynosił w okresie sprawozdawczym 230—275—300—400 tys. dolarów. Popyt na gotówkę był początkowo większy potem jednakże zmalał i wynosił przeszło 10 proc. ogólnego zapotrzebowania. Cały przydział walut uskuteczniał prawie wyłącznie Bank Polski, którego zapas w ostatnich dwóch dekadach poważnie się zwiększył.

Bilans bowiem Banku Polskiego za ostatnią dekadę stycznia wykazał wzrost zapasu walut i dewiz brutto o 15,9 milj. do kwoty 187,180,032 zł., a netto o 19,6 milj. zł. wskutek zmniejszenia się zobowiązań reportowych i walutowych o przeszło 3,7 milj. zł. W pierwszej dekadzie lutego zwiększył się zapas walut o 12,8 milj. zł. Wzrost ten pochodzi nie tylko z wpływów eksportowych, ale również w poważnym stopniu z wolnego skupu na rynku wenętrznym, gdyż szerszy ogół wyzbywa się dolarów i złota na zapłacenie podatków etc. a spekulanci realizują waluty dla zakupu akcyj.

Portfel wekslowy zwiększył się w ostatniej dekadzie stycznia o 3,7 do 319,2 a w pierwszej dekadzie lutego o 1 milj. do 320,2 milj. zł. Obieg biletów bankowych podniósł się na dzień 31 stycznia bardzo poważnie, gdyż o 45,495,980 zł. do 584,805,770 złotych, a na dzień 10 lutego o dalszych 724,830 zł.

Złoty wykazywał na rynkach zagranicznych w dalszym ciągu mocną tendencję. Znaczne obroty dewizami polskiemi robiono w Gdańsku i Wiedniu, nieco mniejsze, niż zwykle, w Berlinie.

Rynek akcyjny.

Na rynku akcyjnym panowała w tygodniu ubiegłym w dalszym ciągu tendencja mocna, przerywana tylko przejściowo lekkiem osłabieniem kursów spowodowanem realizacją zysków. Obroty były wielkie, nastrój ożywiony. Znaczniejszem zainteresowaniem cieszyły się papiery bankowe, a w szczególności Bank Handlowy (zyskał w ciągu tygodnia przeszło 20 proc.), Zw. Sp. Zarobkowych i Zjed. Ziem Polskich. Akcje Banku Polskiego uzyskawszy chwilowo wysoki kurs 109 (czyli wraz z kuponem za rok 1926, za który wypłaca się od 11 b. m. począwszy, 10 zł. — kurs 119) — spadły na 105 złotych, były jednak nadal poszukiwane. Akcje elektryczne, które z końcem poprzedniego tygodnia podniosły się o 25 do 60 proc., nabywane były w dalszym ciągu w większych ilościach na zlecenie zagranicy. Kursy listów zastawnych kształtowały się naogół mocno. Pożyczki państwowe miały usposobienie zwyżkowe. Zaprzestanie przez Bank Polski dnia 15 b. m. sprzedaży obligacyj 5 proc. pożyczki dolarowej (t. zw. dolarówki) wywołało znaczną zwyżkę tejże na rynku prywatnym. W ciągu jednego dnia podniosła się dolarówka z 45 na 49 złotych. W środę płacono za nią 53 zł. — bez oddawców.

Obroty obligacjami polskiemi były w pierwszych dwóch tygodniach stycznia na giełdzie nowojorskiej bardzo znaczne, wynosiły bowiem w dziale 8 proc. pożyczki dolarowej (Dillona) w okresie dwutygodniowym przeszło 1 milj. dolarów, zaś 6 proc. Poż. Dolarową w pierwszym tygodniu 170, a w drugim 205 tys. dolarów. Kurs 8 proc. Poż. Dol. przekroczył kurs emisyjny, wynoszący jak wiadomo 95 za 100, płacono bowiem za pożyczkę tę na giełdzie 105 zł. Według notowań z 12 lutego b. r. wynosił kurs 6 proc. Poż. Dol. 82 dolary, a 8 proc. Poż. 95 i pół dolara.

Awil.

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE.

Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego.

Ukazał się zeszyt 3-ci Wiadomości Statystycznych.

Treść zeszytu bogato ilustrowana wykresami, zawiera między innemi:

Produkcja destylacji ropy. Zbiory wszechświatowe zbóż. Handel zagraniczny Polski produktami rolnemi. Ceny hurtowe i detaliczne w Polsce i zagranicą. Kursy dewiz w Polsce oraz kursy pożyczek państwowych na giełdzie w Nowym Yorku. Wydatki i dochody Państwa Polskiego. Nauczanie początkowe w Polsce i t. p.

Pozatem zostały szczegółowo omówione wskaźniki ogłaszane przez Główny Urząd Statystyczny z podaniem sposobów i zasad ich obliczania.

Listy do „Prawdy“

Do Redakcji
Tygodnika „PRAWDA“
w miejscu.

W Nr. 43 z dnia 13 lutego „Kurjer Łódzki“ zaatakował naszą Instytucję w związku z trudnościami płatniczemi, w jakich znalazł się szereg firm przemysłowych łódzkich.

Na napaść tę, jak i na zapowiedziane przez dziennik ten napaści dalsze, nie odpowiadamy i odpowiadać nie będziemy, gdyż wiadomo nam, że zarzuty płyną nie z rzeczowej i krytycznej oceny naszej działalności, lecz mają swe źródło w pobudkach ubocznych, wykluczających dla nas wszelką możność polemiki.

Związek Przemysłu Włókienniczego
w Państwie Polskiem.

Praca i wydajność

Pod powyższym tytułem publikuje „Schweizerische Arbeitgeber - Zeitung“ z dnia 12 b. m. artykuł, w którym wykazuje, że obecny kryzys gospodarczy, pod którym cierpi przeważna część krajów europejskich, jest w wysokim stopniu skutkiem nieprodukcyjnie i nieracjonalnie pracujących zakładów. Realizacja socjalistycznych żądań, wymagania płacy litylko według kryterjów ilościowych, doprowadziła do zatrudnienia głów nie mniej wartościowych żywiołów z pośród robotników, wskutek czego wydajność ogółu została zmniejszoną. Niemniej zgubnie działało także zupełnie samorzutnie wprowadzone skrócenie czasu pracy, które również pociągało za sobą znaczne zmniejszenie produkcji.

Artykuł powyższy cytuje dla ilustracji szereg przykładów, zaczerpniętych ze stosunków przemysłowych w różnych krajach. Ustęp odnoszący się do Polski brzmi następująco:

„Gdzie dane warunki nie pozwalają na wydatne polepszenie urządzeń technicznych, robiono często korzystne doświadczenia przez przedłużenie czasu pracy. W polskim Górno-Śląskim przemyśle hutniczym osiągnięto z powodu samorzutnego skrócenia czasu pracy koszty produkcji, leżące daleko ponad cenami rynku światowego. Skutkiem tego było unieruchomienie różnych zakładów hutniczych, ażeby zapobiec zupełnej ruinie tych zakładów, Rząd Polski zezwolił w roku 1924 na przedłużenie czasu pracy w hutach z 8 na 10 godzin. Według wiadomości wiedeńskiego czasopisma „Die Industrie“ rezultaty osiągnięte wskutek tego były wprost zdumiewające. Tylko od lipca aż do września 1924 r. produkcja, nie licząc zmniejszenia ilości robotników o 12 proc., wzrosła z 41,400 na 95,200 tonn, a więc o 110 procent. Płace za tonnę wynosiły w lipcu 12,5 zł., a we wrześniu tylko 6,4 zł., a więc zaledwie połowę. Przeciętne wynagrodzenie w tym samym okresie, i to jest nadzwyczaj charakterystycznem, wzrosło z 4,88—6,10, a więc o 25 proc. Przedłużenie czasu pracy miało więc ten skutek, że mniejszą ilością robotników znacznie więcej i taniej można było produkować, że huty miały tedy możność podwyższenia swego obrotu, produkowania dalej bez straty i utrzymywania zakładów w ruchu, podczas gdy możliwości zarobkowania robotników znacznie wzrosły“.

Cyfry godne zastanowienia!

NAPRAWA KONSTYTUCJI.

Wyszła z druku praca Adolfa Suligowskiego pod tytułem **Słowa przestrogi dla Polski czyli Konieczna naprawa konstytucji.** Autor wykazuje zasadnicze wady naszej konstytucji i nawołuje do natychmiastowej naprawy. W szczególności autor domaga się zwiększenia władzy Prezydenta Rzeczypospolitej, urządzenia silnego Senatu, jako wyższej instancji ustawodawczej, zniesienia wszechwładzy Sejmu i rewizji prawa wyborczego do Sejmu, a zwłaszcza do Senatu.

KRONIKA GOSPODARCZA

CENY NA RYNKU ŚWIATOWYM

w tygodniu od 3-go do 9-go lutego 1927 r.
(W okresie sprawozdawczym przeciętny kurs funta ang. = zł. 43.49).

BAWEŁNA:	3.II. pensy	9.II. ang.
Middling amer.	7.35	7.65
Middling na termin (marzec)	7.20	7.45½

Podczas tygodnia ceny znowu się podniosły. Złożyły się na to znaczne zakupy przędzalników, dobry zbyt przędzy i gotowych materjałów i po części może projektowana ustawa o waloryzacji bawełny w stanach Zjednoczonych. (Ceny nowojorskie poniżej).

PRZĘDZA BAWEŁNIANA:	pensy	ang.
Amerykańska 32'	12¼	12½
Egipska 60'	24	24

Popyt w dalszym ciągu dobry, tendencja utrzymana.

WEŁNA:	pensy	ang.
Merino najwyższy gatunek (prana) za funt ang.	47	48
Merino najwyższy gatunek (brudna) za funt ang.	35	36
Crossbread przedni za funt ang.	33	34
Crossbread średni za funt ang.	21	22

Sprzedaże na przetargach (103,000 bel) przewyższały znacznie czekiwania. Popyt z kontynentu doskonały. Widoki na korzystną konjunkturę.

TOPSY (czesanki):	pensy	ang.
Przednie merino 70'	49	49
Dobre merino 64'	45	45
Cienkie Crossbread	31	31

Sytuacja na rynku niezmieniona.

JUTA:	funty	ang.
Przedni gatunek za tonnę	32	30½

MĄKA:	szylingi	ang.
Przednia pszenna kanadyjska za worek (40 funt. ang.)	22.6	22.6

Dobry popyt za chlebem spowodował wieksze tranzakcje mąką. Cena 22.3 za worek, wobec 24.6 w roku 1926, a 29.— w roku 1925 jest zachęcająca.

ZBOŻE:	szylingi	ang.
Jęczmień za centnar ang.	10.6	9.6
Owies za centnar ang.	9.9	8.9

Na jęczmień dla celów spożywczych popyt słaby, żywszy na cele fabrykacji słodu i dla zasiewów. Spadek cen owsa, katastrofalny dla farmerów, spowodowany wielkimi i jakościowo dobrymi zbiorami w Ameryce.

RYŻ:	funty	ang.
Karolina za tonnę	39.10	39
Burma za tonnę	16	16

Tranzakcje gatunkiem Karolina po 39, Jawa po 36.

JAJA:	szylingi	ang.
Za wielką setkę (120 sztuk)	20	20

Cena świeżych jaj niezmieniona. Iryjskie nieco powyżej 19 sz., duńskie 17 sz. 6 p., podczas gdy australijskie, które w dobrym stanie przybywają po 14 sz.—14 sz. 6 p. za 120 sztuk.

CUKIER BURAKOWY:	szylingi	ang.
Kryształ za centnar (bez podatku)	16.3	16.3

Na rynku pewna ilość w podaży po tanich cenach. Są nabywcy na polski kryształ po cenie 18 sz. 6 p. (bez podatku, kanadyjski 20 sz.

ŻELAZO:	szylingi	ang.
Nr. 1 za tonnę	90	90
Nr. 3 za tonnę	85	84

Cena zależna jest od ceny koksu. Towar kontynentalny poważnie wpływa na rynek.

CYNK:	funty	ang.
Płyty za tonnę	41.10	39.10
Sztaby za tonnę	29.10	29

Płyty do nabycia po tańszych cenach. Sprzedaż sztab żywa, o ile ceny są niskie.

CYNA:	funty	ang.
Standart za tonnę	295	307.10

Na dostawę wiosenną polepszyła się cena o funt. 5.—, na natychmiastową dostawę rynek wykazuje pewne momenty podniecenia z powodu nieznacznych zapasów.

OŁÓW:	funty	ang.
Za tonnę	28	27

Znaczne tranzakcje spowodowane są niskiemi cenami. Dostawa z Australji nieznaczna.

Notowania bawełny w Nowym Yorku:

na marzec	13.75—13.95 cent. amer.
na maj	13.99—14.19 cent. amer.
na lipiec	14.41—14.58 cent. amer.
na październik	14.57—14.73 cent. amer.

WĘGIEL:

Za tonnę fob:	szylingi ang.
najlepszy gruby	22.6—23.6
secunda	22 —22.6
zwyczajny	21 —22
najlepszy drobny	15 —15.6
dobry drobny	14 —15
koks (według jakości)	30 —50
brykiety	27.6—28

W południowej Walji ujawnia się większe ożywienie ' -lecenia nadchodza z okolic, do których w ostatnich latach wysyłka była nieznaczna. Mimo tego rynek słaby. Zapasy są bardzo znaczne, a ponieważ ośmiogodzinny dzień pracy produkcję bardzo powiększa, aczkolwiek jeszcze 40,000 górników jest niezajętych w Zagłębiu Walji, kopalnie zmuszone są zastanawiać ruch, aż do wyładowywania wagonów. Produkcja przewyższa znacznie popyt. Ponieważ chodzą pogłoski o zamierzonym strejku w Ameryce, nadchodzą zamówienia stamtąd, które uprzedzają wypadki. Jednak sytuacja jest jeszcze niezadowalniająca. Właściciele kopalń wzbraniają się przyjmować ludzi starszych i wybitnych kierowników związków zawodowych.

SYTUACJA NA RYNKU BAWEŁNIANYM.

Spokojna, mocna podstawa przeważała na rynku w ubiegłym tygodniu; ceny wykazują zwyżkę około 20 punktów. Główną cechą jest dalszy dobry popyt na bawełnę starych zbiorów, z której przeważna część gatunków w cenie się podniosła. Ogół tranzakcyj był w porównaniu z tygodniem poprzedzającym nieco mniejszy.

Podnietą dla pewnej spekulacji jest — jak na innem miejscu donosimy — wiadomość, że kongresowi przedłożony zostanie projekt ustawy, której celem jest udzielić pomocy podupadłym plantatorom bawełny. Nadwyżka ich zbiorów ma być przez rząd zakupioną lub na bardzo dogodnych warunkach zlombardowaną. Zanim projekt ten stanie się ustawą, minie jeszcze sporo czasu, zwłaszcza, że przeciw takiej akcji zaznacza się silny opór. Nie ulega bowiem wątpliwości, że akcja taka nie jest w stanie na dłuższą metę wywrzeć wpływu na ceny bawełny. Obojętnem jest, kto posiada nadwyżkę bawełny, państwo, plantator, czy też handel. Tymczasowo nikt jej nie potrzebuje, a potem i tak wchodzi w konsumcję.

Naogół można obserwować, że w towarach bawełnianych nastąpiła poważna próżnia i że w przędzalniach zapasy doszły do niskiego poziomu. Teraz następtuje okres wypełniania tych luk. W tym samym kierunku działa taniość towaru i dlatego nie jest zadziwiającem, że okoliczności te, razem wziąwszy, prowadzą do popytu, przekraczającego normalną miarę.

Co do przygotowań do przyszłych zbiorów informują nas, że redukcja obszaru uprawy będzie wynosiła: na południu 9—13 procent, w Arkansas i Tenessee 13 i pół proc., w Texas 15 i pół proc. i w Oklohama 16 procent. Pociągnie to za sobą zmniejszenie zbiorów, wystarczające dla poprawy warunków ekonomicznych również wśród przemysłu.

MS.

Eksport węgla polskiego w styczniu 1927 r.

Według tymczasowych zestawień eksport węgla z Polski wynosił w miesiącu styczniu b. r. 1,165 tysięcy tonn.

Wobec grudnia 1926 roku, w którym to miesiącu eksport węgla wynosił 1,303 tysięcy tonn, styczeń przyniósł zmniejszenie się eksportu węgla o 138 tys. tonn.

Spadek jest stosunkowo nieznaczny, należy jednak wziąć pod uwagę, że w styczniu kopalnie nasze wykonywały je-zcze zamówienia dla zagranicy, poczynione w okresie strajku angielskiego.

Pierwsze miejsce w eksporcie węgla naszego zajmuje Austrja, dokąd wywieźliśmy 337 tys. tonn, następnie Szwecja — 215 tys. tonn, a trzecie Włochy — 186 tys. tonn.

Ceny zboża w Polsce.

Przeciętna **cena pszenicy** na giełdach krajowych w okresie

od 16—22 stycznia wynosiła	52.50 zł.
od 22—31 stycznia wynosiła	52,57 zł.

za 100 kg.

Żyto:

od 16—22.I przeciętna	40.05 złotych
od 22—31.I przeciętna	39.87 złotych

za 100 kg.

Owies:

od 16—22.I przeciętna	30.69 złotych
od 22—31.I przeciętna	30.48 złotych

za 100 kg.

Skarb państwa w styczniu:

Dochody skarbu państwa w styczniu 1927 roku przedstawiają się w sposób następujący:

podatki gruntowe	3,189 tys. zł.
podatek przemysłowy	21,715 „ „
podatek dochodowy	9,070 „ „
podatek majątkowy	5,863 „ „
inne bezpośrednie	7,055 „ „
10% dodatek	6,300 „ „
podatek od wina i piwa	847 „ „
podatek od cukru	9,992 „ „
inne pośrednie	3,885 „ „
cła	19,180 „ „
opłaty stemplowe	13,314 „ „
monopol tytoniowy	24,000 „ „
monopol spirytusowy	31,161 „ „
monopol zapałczany	723 „ „
monopol sacharyny	3 „ „

Razem dochody skarbu państwa z podatków, opłat i monopoli wyniosły w miesiącu styczniu 1927 r. — 158 miljonów 759 tysięcy złotych.

Stopa dyskontowa Banku Polskiego.

Z dniem 11 lutego stopa procentowa Banku Polskiego obniżoną została dla dyskonta **weksli z 9½% do 9% dla lombardu z 11% do 10½%.**

Wkłady w Banku Gosp. Krajowego.

Wkłady prywatne w Banku Gospodarstwa Krajowego wynosiły:

październik 1926 r.	168,3 milj. zł.
listopad 1926 r.	187,1 milj. zł.
grudzień 1926 r.	195,2 milj. zł.

Wymeldowywanie ubezpieczonych w Kasie Chorych.

Coraz częściej powtarzają się wypadki nieprzestrzegania przez pracodawców obowiązku wymeldowywania osób ubezpieczonych na wypadek choroby w sposób w terminie określonym w art. 15 pkt. I i II Ustawy o Kasach Chorych z dnia 19 maja 1920 roku i to mimo kilkakrotnego pouczania przez Zarząd K. Ch. zainteresowanych pracodawców.

Skutki niestosowania się pracodawców do przepisów wyżej wymienionej ustawy o obowiązkowem ubezpieczeniu na wypadek choroby są takie, iż często pracodawcy roszczą absolutnie nieuzasadnione pretensje pod adresem Zarządu Kasy o rzekomo niesłuszne ściąganie składek członkowskich od niepracujących, lecz niewymeldowanych w przepisanym ustawowo terminie pracowników danych zakładów względnie instytucyj.

Wobec tego Zarząd K. Ch. m. Łodzi przypomina pracodawcom, iż ubezpieczenie pracownika na wypadek choroby trwa aż do dnia zawiadomienia — na odpowiednich formularzach — Wydziału Ewidencji Ubezpieczonych Kasy Chorych m. Łodzi. o zwolnieniu pracownika z pracy, bądź porzuceniu przez niego tejże pracy.

Przy zgłoszeniu wymeldowania pracownika po upływie pierwszych 3-ch dni w tygodniu do ustalenia sumy należnej Kasie Chorych zalicza się cały dany tydzień, a to wskutek wprowadzonego przez ustawę tygodniowego obliczania składek na rzecz Kasy Chorych, jak również świadczeń pieniężnych tychże Kas Chorych na rzecz ubezpieczonych.

Wydział Ewid. Ubezpiecz. K. Ch. m. Łodzi przyjmuje odnośne zawiadomienia codziennie w godzinach od 8-ej rano do 3-ej po południu (ul. Wólczańska Nr. 225, poprzeczna oficyna, pokój 46).

Jednocześnie Zarząd Kasy poucza, iż wydawane przez Wydz. Ewid. Ubezp. potwierdzenia odbioru zawiadomień o wystąpieniu z pracy winny być przechowywane przez pracodawcę jako dowód dopełnienia przez nich obowiązku wymeldowania.

Żadnych reklamacyj z tytułu zaniedbania przez pracodawców obowiązku wymeldowania pracownika Zarząd K. Ch. m. Łodzi nie uwzględnia.

Lotnictwo cywilne w Polsce.

Na linjach cywilnej polskiej żeglugi powietrznej w grudniu 1926 roku dokonano ogółem lotów 123, t. zn. średnio dziennie 5 lotów. Płatowce przeleciały ogółem 39,935 klm., przewożąc 192 pasażerów, ładunków 2,721 kg., a korespondencji pocztowej 24 kg. Regularność lotów wynosiła na linji Warszawa—Kraków 100 proc., Warszawa—Lwów 22 proc., Lwów—Kraków 40 proc., Kraków—Wiedeń 24 proc., a Warszawa—Kraków (przez Łódź) 27 proc.

ROZWÓJ EKSPORTU POLSKIEGO CYNKU

Z dat statystycznych za rok 1926 wynika znaczny wzrost eksportu cynku z Polski. Wywóz metali w roku 1926 podniósł się do 242,064 tonn, wobec 212,031 tonn w roku 1925. Z tego przypada na wywóz żelaza surowego 16,179 (17,015), żelaza i stali różnych gatunków 20,849 (42,480), szyn 583 (3383), blach żelaznych i stalowych 26,401 (21,655), innych wyrobów żelaznych i stalowych 3934 (3147), rur 26,527 (22,985), ołowiu 17,244 (14,605). Największy wzrost wykazuje wywóz cynku i miału cynkowego, który wynosił 113,972 wobec 68,921 tonn w roku 1925. Natomiast wywóz blachy cynkowej spadł z 24,878 na 8,347 tonn.

Niemiecki eksport węglowy.

W miesiącu grudniu z Niemiec wywieziono do krajów europejskich 2.065.249 ton węgla, co wobec wywiezionych 2.534.940 ton w miesiącu listopadzie, oznacza spadek o blisko pół miljona ton. Do Anglji wywieziono w grudniu 72.782 ton, wobec 136.368 w listopadzie. Zmniejszenie się eksportu węgla należy bez kwestji przypisać ukończeniu strejku węglowego w Anglji.

Wzrost wydajności pracy.

Na zebraniu Wolnego Związku Górników w Bochum, członek parlamentu niemieckiego, Husemann, powiedział, że rzeczywista wydajność pracy górnika na dniówkę w Zagłębiu Ruhry podniosła się o 20 procent w stosunku do roku 1913. W kopalniach górnośląskich wzrost wynosił 14 proc., a w dolnośląskich 12 proc. Odnośnie do produkcji żelaza, wydajność od roku 1924 wzmogła się o 24 procent.

KONIEC OGRANICZEŃ WĘGLOWYCH.

Zakaz wywozu węgla z niemieckiej części Górnego Śląska, który rozporządzeniem Komisarza Rzeszy wszedł w życie dnia 12 października 1926 roku, a który odnosił się do wywozu wyłącznie górnośląskiego węgla kamiennego do nowo-pozyskanych rynków zbytu oraz do Węgier, został wskutek przedstawienia Górnośląskiego Syndykatu Węgla Kamiennego z dniem 1 lutego 1927 roku zniesiony.

Zakaz wywozu skór z Rumunji.

Rząd rumuński, który przed krótkim czasem znacznie podwyższył cło na skórę, zabronił obecnie wywozu skórek zajęczych, tchórzów i innych zwierząt. Także i znaczna produkcja rumuńska skór owczych, która dla europejskiego i amerykańskiego przemysłu ma pewne znaczenie, została tym zakazem wywozu dotknięta. Głównie ponosi szkodę rolnictwo rumuńskie, gdyż nie znajduje w kraju dostatecznego zbytu na skóry. Że tego rodzaju zagraniczna polityka handlowa służy tylko pewnej grupie spekulantów wynika z tego, że ceny na odnośny materjał natychmiast spadły o połowę i więcej. Zainteresowany handel oświadcza, że przez ten zakaz wywozu zagraża mu zupełna ruina.

Handel zagraniczny Anglji.

Wartość przywozu do Anglji wynosiła w miesiącu styczniu 113,600,255 funtów szterl., co oznacza spadek wobec tego samego okresu w roku ub. o 4,118,321 funt. szterl. Wartość wywozu podają na 55,421,848 funtów szterl., co oznacza zmniejszenie się o 4,958,626 funtów szterl.

Zyski angielskich kolei.

Dwa angielskie towarzystwa kolejowe, a mianowicie Great Western Railway Co. i Southern Railway Co. wykazują znaczną zniżkę swych dywidend za rok 1926, spowodowaną przez strejk węglowy. Great Western Railway Co. wypłaca na akcje założycielskie tylko 3 procent (wobec 7 proc. w roku 1925). Jest to najmniejsza dywidenda tego towarzystwa od 56-ciu lat. Celem wypłaty dywidendy musi Towarzystwo naruszyć fundusz rezerwowy (2,1 miljona funtów). Według sprawozdania tego towarzystwa zmniejszyły się dochody z ruchu towarowego w roku ub. o 4,65 miljona funtów. Southern Railway Co. wypłaca dywidendę w wysokości 1¼ proc. (wobec 3,5 proc. w roku 1925). Także i to towarzystwo zmuszone jest z funduszu rezerwowego podjąc 842,000 funtów, celem wypłacenia dywidend.

Dywidenda szwajcarskiego Banku Narodowego.

Szwajcarski Bank Narodowy (państwowy) wykazuje czysty dochód 6,4 miljona franków. Po przekazaniu 2 proc. na fundusz rezerwowy akcjonarjuszom będzie wypłacona dywidenda w wysokości 5 procent. Kasie państwowej będą przekazane 4,7 miljona dla rozdziału pomiędzy Związek i kantony.

ZNIŻKA STOPY PROCENTOWEJ WE FRANCJI.

Bank Francuski (państwowy) obniżył stopę dyskontową z 6½% na 5½%, a stopę procentową za lombard z 8½% na 8%.

Zapomogi dla plantatorów bawełny.

Według wiadomości z Waszyngtonu Senat Amerykański przyjął ustawę o zapomogach dla farmerów 47 głosami przeciw 39. Za przyjęciem głosowało 24 republikanów, 22 demokratów i jeden członek partji farmerów. W projekcie ustawy przewidziane jest otwarcie kredytu w wysokości 250 miljonów dolarów, który ma służyć do usunięcia z rynku zbytecznych ilości bawełny, zboża i ryżu w chwili, kiedy cena ich spada poniżej kosztów produkcji. Zdaje się, że głównym celem ustawy jest udzielić producentom bawełny ochrony przeciw spadkowi cen. Projekt ustawy będzie przedłożony kongresowi.

POPYT NA SAMOCHODY EUROPEJSKIE.

Na argentyńskiej wystawie samochodów, która odbyła się w miesiącu grudniu w Buenos Aires, przeważały samochody amerykańskie, gdyż wynosiły 90% wszystkich wystawionych objektów. Mimo tego zaznaczył się znaczny popyt na samochody europejskie, co jest tembardziej zdumiewającem, że samochody europejskie kalkulują się naogół znacznie drożej, niż typy wielkich amerykańskich koncernów. Podczas gdy marki angielskie tylko słabo były zastąpione, wystawę obesłały następujące kontynentalne fabryki: Alfa-Romeo (Hiszp.), Citroen, Renault, Voisin i Delage (Franc.), Minerwa (Belg.), Austro-Daimler (Austr.) i Opel (Niem.).

PRODUKCJA CUKRU w CZECHACH.

Produkcja Czechosłowackich cukrowni w pierwszych trzech miesiącach obecnej kampanji wynosiła 1,011,253 tonn (surowego cukru) wobec 1,420,394 tonn w tym samym okresie roku ubiegłego — zmniejszyła się więc o 409,142 tonny.

JERZY DE LA FOUCHARDIERE

CZYNY i MYŚLI
SZEREGOWCA
DRATWY

7) Dalszy ciąg.

— Niech będzie fezy. Wtedy Bułanek, który też stał na warcie (przeddomek ten nadałem mu z powodu jego żółtych włosów), chciał robić mądrego i oświadczył: „To nie Turcy są tam w okopach; to są Karpaty". Ale zasypał się z kretesem: udowodniłem mu, że nie może być tu nawet mowy o Karpatach; ja przecie widziałem Karpaty.

— Widział pan? — przerwałem z podziwem .

— Tak, w kinie. Karpaty nie mają fezów; noszą czapki astrachańskie i długie szable. Więc ci, których widział Utuczek w okopie naprzeciwko, to mogli być tylko Turcy.

— A co z odaliską?

— Jużbym był o niej powiedział, gdyby pan ciągle nie mówił. Gadaliska pokazała się po raz pierwszy po południu tego samego dnia. Bycza baba! Spacerowała sobie na słońcu w okopie naprzeciwko. Widać było jej głowę i biust. Na głowie była taka wysoka chyra; i biuścik niczego sobie wychylał się z wydelikoltowanej bluzki gadaliski... Baliśmy się strzelać, żeby jej nie uszkodzić.

— Panie Bicard, nie lubię, jak się mnie buja.

— Niechże pan czeka do końca. Wszystko święta prawda i nic niemoralnego. Otóż gadaliska robiła do nas oko z wdzięcznym uśmiechem, który każdy z nas mógł kolejką widzieć przez lornetę porucznika. Więc wiara mruczała z zazdrością: „A to huncwoty, te Turki!" i aby rozerwać trochę biedną niewolnicę, śpiewaliśmy chórem rozmaite piosenki. Ale w gruncie rzeczy chcieliśmy... (Dratwa zniżył głos ze względu na żonę)... chcieliśmy zobaczyć ją zbliska. A właśnie tego wieczora kapitan kazał któremu z nas na ochotnika iść poprzecinać nieprzyjacielskie zasieki druciane. Wszyscy chcieli się poświęcić. Wtedy ja zaproponowałem, żeby, zamiast ciągnąć losy, zagrać w karty; bo z kartami to ja zrobię, zo zechcę... Wygrałem więc partję i dostałem pozwolenie przespacerowania się do szwabskiego okopu. Ale psia kość, nie było łatwo zbliżyć się do gadaliski; musiałem zakatrupić trzech czy czterech jej strażników... Za to później co się nie naśmiałem...

— Panie Bicard, obiecałeś pan, że ta historja będzie moralna.

— To też jest moralna. Wystaw pan sobie, że gadaliska miała tylko głowę i biust; nic więcej; a głowa i biust były z wosku. Była to taka lalka, jakie się widuje na wystawach fryzjerskich. Szwaby zarekwirowały ją u jej właściciela i wystawiły w okopie, myśląc, że nasza francuska aligancja nie pozwoli nam strzelać w jej stronę.

— No, a Turcy?

— Ani śladu. Turcy to były poprostu Szwaby, które włożyły na swe paskudne kwadratowe łby fezy, skradzione w jakimś bazarze... Ale niech skończę panu opowiadać. Więc wróciłem z mej wyprawy do okopu, ale nic nie mówiłem kolegom, żeby sobie ze mnie nie kpili; przybrałem nawet swawolną i tajemniczą minę. Wtedy wszyscy, jeden za drugim, chcieli zobaczyć gadaliskę; i wszyscy wracali z taką samą miną, jak ja, żeby nabrać innych. Że zaś każdy, żeby zaspokoić swą ciekawość, musiał zarżnąć dwóch albo trzech Szwabów, więc kiedy już wszyscy przespacerowali się do okopu nieprzyjacielskiego, nie zostało w nim ani jednego Niemca... Wobec tego zakwaterowaliśmy się tam wszyscy, razem z gadaliską, która jednak skończyła bardzo smutnie: rozpaliliśmy ogień na zupę za blisko niej i stopiła się... Zachowałem tylko jeden jej loczek...

I Dratwa wyjął z za pazuchy pukielek jasnych włosów. Ale w tejże chwili pani Bicard, która właśnie skończyła myć naczynie, spostrzegła na nieszczęście ruch męża i loczek.

I zaczęła się zbliżać, groźna i straszliwa...

Ponieważ w scenie małżeńskiej winny brać udział dwie osoby a nie więcej, ulotniłem się dyskretnie.

X.

Dratwa jako aptekarz.

— Jeżeli Szwaby przypisują sobie ostatnie wynalazki i nowości wojenne — mówił Dratwa, gdyśmy raz jechali statkiem na Sekwanie, — to powinni postawić pomniki tym, którzy pierwsi je opatentowali. Było to bardzo dawno, jeszcze przed niemowlęctwem Franciszka Józefa... Mówię o admirale von Jonaszu, który odbył pierwszą podróż łodzią podwodną; o generale von Jozue, który pierwszy rozwalił mury fortecy, dmąc tylko na nie z trąby... Pomijam już kolosalnego von Heroda, który wpadł pierwszy na pomysł wy mordowania dzieci. Te poglądy fizoloficzne przedstawiłem już jednemu pułkownikowi bawarskiemu, kiedy leczyłem jego pułk z epidermji brzusznej a z nim samym współpracowałem w wypędzaniu salitera z jego kiszek.

Spojrzałem na Dratwę surowo. Był poważny, jak Budda, a jego niebieskie oczy wyrażały zupełną szczerość i brak jakiegokolwiek fałszu.

— Tak jest, swego czasu na północnym froncie byłem pigularzem w służbie szwabskiej przez pięć dni. Nigdy panu o tem nie mówiłem? Mogłem im wytruć cały korpus armji, gdyby organizm Szwaba był taki sam, jak u porządnego człowieka. Nigdy nie widziałem, jak wygląda Szwab w środku, ale wiem z doświadczenia, że trucizna tam nie działa a wachcyle giną na suchoty lub na mankolję. Dlatego to Szwaby są takie twarde. Pewnego dnia zdobyliśmy sporą wieś atakiem na bagnety...

— Wolałbym usłyszeć, jak to pan oddawałeś się aptekarstwu na północnym froncie.

— Właśnie do tego zmierzam. Moja kompanja zajęła ową wieś. Było w niej jeszcze kilka całych domów. W jednym z nich znalazłem łóżko. Była to apteka, której właściciel wykonał odwrót startegiczny, zostawiwszy w porządku słoje i flaszki, napełnione lekarstwami na wypadek, gdyby ktoś czegoś potrzebował. Co do mnie, potrzebowałem tylko łóżka... Kładę się więc i zasypiam. Aż tu w nocy Szwaby wracają kupą. Moja kompanja wycofuje się powoli, ale zapomina mnie obudzić. I dopiero gdy tamto paskudztwo już włazi, widzę, że dostanę się do niewoli. Na szczęście, pigularz zostawił w sklepie swoje manatki, w których pracował w aptece. Jego pantofle były na mnie trochę za wielkie, ale zato aksamitna mycka była za ciasna; spodnie pasowały w sam raz, okulary nie przeszkadzały zanadto w widzeniu, a z dodatkiem białego kitla wyglądałem pierwsza klasa... Rozsiadłem się za ladą. Pierwszemu Bawarczykowi, który wszedł, daję uprzejmie lekarstwo na uspokojenie, specjalność firmy, i zapowiadam, że apteka jest otwarta przez całą noc. Ale dopiero na drugi dzień zacząłem robić interesy.

— Z kim?

— Z szwabskim lekarzem pułkowym, który przedewszystkiem przyniósł mi receptę na lekarstwo przeciw dolegliwościom brzusznym, trapiącym cały bataljon wskutek przejedzenia się surowymi burakami. Lekarz był na tyle grzeczny, że napisał receptę po francusku; mógłby napisać po chińsku, skutek byłby ten sam... Wziąłem sprawiedliwie po garstce z każdego słoja, wymięszałem w rondlu, podlałem jakiemiś płynami z flaszek aptecznych i gotowałem z kwandransik. Wytworzyło to nawet dym duszący, o którego receptę prosił mnie potem bawarski pułkownik. Kiedy już moje lekarstwo było gotowe, wręczyłem je lekarzowi pułkowemu, zalecając potrząsnąć przed użyciem. Następnie poleciłem duszę Bogu... Kiedy wieczorem lekarz zjawił się znowu, pomyślałem: „No, już po mnie! Ten przychodzi z wiadomością o śmierci wielu żołnierzy. Postawią mnie pod mur i..." Gdzież tam! Lekarz przyszedł mi powiedzieć, że wyleczyłem wszystkich jego Bawarczyków... Wtedy zacząłem podziwiać, do czego doprowadza szwabska dyscyplina.

— Dyscyplina?

— No pewnie. Daje się żołnierzom lekarstwo i mówi się im: „To was uzdrowi". Więc ci wyzdrowieją przez posłuszeństwo, żeby nie sprzeciwiać się lekarzowi z trzema galonami. Zresztą wiedzą, że nie opłaciłoby im się trwać uparcie w chorobie... Kiedy to wszystko zrozumiałem, wziąłem się do roboty. Robiłem rzeczy niesłychane... Dosyć powiedzieć, że przeczyściłem stu pięćdziesięciu Szwabów bizmutem!

— Założyłbym się, że ten bizmut był fałszowany.

— Wcale nie! — odparł Dratwa z oburzeniem... — Albo kiedyindziej przychodzi do mnie jakiś porucznik i daje mi flaszeczkę, żeby mu zbadać ilość cukru w jego diabetycznej urynie. W dziesięć minut później zjawia się jego kapitan i prosi mnie o lekarstwo na trapiącą go chorobę. Podaję mu flaszeczkę porucznika i mówię: „Niech pan kapitan to wypije; i poproszę o zawiadomienie mnie o rezultacie..." I jestem pewny, że on byłby teraz zdrów, jak byk, gdyby go nie trafiła w brzuch kula, co przeszkodziło działaniu mego lekarstwa. Ale najlepsze to było z saliterem pułkownika...

— A, właśnie: jak to było z tym soliterem?

— To był saliter szwabski — objaśnił poważnie Dratwa. — Pochodził z niedogotowanej szynki westfalskiej, którą pułkownik jadł w sierpniu... Tak, to był szwabski saliter: wrzepił się mocno... Dla odżywiania tasiemca pułkownik pochłaniał porcję całego sztabu. Tak nie mogło być dłużej. Zwrócił się do mnie o pomoc. Naprawdę nie wiem, co mu kazałem zażywać. Próbowałem stosować środki łagodne i zaleciłem sublimat przed każdem jedzeniem. Potem dawałem mu strychninę i cjanek potasu. Byłem ciekaw, kto pierwszy wyciągnie kopyta, saliter czy pułkownik. Nigdy się o tem nie dowiedziałem. Żołnierze mego pułku odebrali wieś, przerywając moje doświadczenia w chwili, gdy były najciekawsze. Pozbawiono mnie klienteli bawarskiego pułkownika, którego znaleziono pogrążonego we śnie, bo właśnie poprzedniego wieczora poczęstowałem jego salitera porcją makowca...

Statek nasz dobijał do celu. A Dratwa wyjawił mi swe projekty na przyszłość.

— Myślałem o założeniu sobie knajpy w Paryżu; ale to nie warto... Wolałbym zostać pigularzem w Berlinie po jego zdobyciu.

XI.

Nawrócenie Dratwy.

W dniu, w którym młody Ernest Bicard przystąpił do pierwszej Komunji, byłem z zachowania Dratwy bardzo zadowolony. Był poważny, milczący, prawie skupiony. Nie licząc pewnej, może zbyt wielkiej, ilości jego wizyt w winiarniach w chwilach odprężenia, zachowywał się prawdziwie budująco. Owe stacje uważał zresztą za liturgiczną, obowiązkową i nieodłączną część ceremonjału religijnego, tak samo, jakby chodziło o ślub lub pogrzeb.

Byłem tem wszystkiem nie tylko zbudowany: byłem trochę zdziwiony. Przed wojną Dratwa wygłaszał z upodobaniem antyreligijne teorje. Nazywał je swojemi przekonaniami. Ale to nie były przekonania, tylko pewna postawa, postawa osobnika, który nie lubi się zginać przed nikim i dlatego brawuruje wobec władzy nadprzyrodzonej tak samo, jak pyskuje wobec władzy policyjnej...

Dratwa był w gruncie rzeczy człowiekiem religijnym, ale ta jego religijność była wypaczona, jak u Lutra albo Robespierre'a. Pana Boga pojmował na swoją modłę, jako naczelnika wyższej administracji, w której wszystko idzie kiepsko. To też czynił Stwórcę odpowiedzialnym za wszystkie swoje nieprzyjemności.

Dlatego życie upływało Dratwie na ciągłych skargach pod adresem Pana Boga. Jeżeli koń, na którego postawił, zrobił mu zawód, jeżeli deszcz zaczynał padać, kiedy Dratwa zapomniał parasol, jeżeli nieprawdopodobny pech nie pozwolił głównej wygranej paść na los Dratwy, — przy każdej takiej sposobności oskarżał Pana Boga, że szykanuje go w sposób nigdzie niepraktykowany i że wogóle faworyzuje hołotę, zamiast porządnych ludzi.

Wobec tych ciągłych prześladowań metafizycznych postanowił nawet zastosować pewne represalja. Zapowiedział mi mianowicie, że „na przyszłość" każe się grzebać po świecku — na złość Panu Bogu; że każe ochrzcić po świecku synka, oczekiwanego przez panią Bicard, na wypadek gdyby Pan Bóg zechciał mu spłatać figla i obdarzyć go jeszcze raz córką. Co się tyczy najstarszego, Ernesta, Dratwa zgadzał się, by go wzięli djabli, jeżeli jego pierwsza komunja nie będzie cywilna i świecka.

Kiedy przypomniałem mu ze śmiechem te nieopatrzne zapowiedzi, odparł poważnie:

— Nie rozumiem, jak można z rzeczy godnych szacunku robić komedję.

Było więc rzeczą widoczną, że Dratwa od czasu wojny pojednał się z Panem Bogiem.

— Bardzo zyskuje przy bliższem poznaniu — powiedział do mnie Dratwa z wielką powagą. — Przekonałem się o tem, kiedy byłem...

— Na drodze do Damaszku?...

— Nie; na zagonie buraków, gdzie cała kompanja leżała przez dwie godziny na brzuchu w oczekiwaniu artylerji. Szwaby waliły w nas, że coś okropnego. Mój sąsiad z prawej strony, w cywilu rolnik, tłómaczył mi uprawę buraków, które są jarzyną pożyteczną a niedocenianą (podobno w północnej Francji używają ich do słodzenia kawy...). Słuchałem go jednem uchem, drugiem zaś rozmyślałem nad nieśmiertelnością duszy ze względu na kaprala Godarda, leżącego na lewo ode mnie. Czy pan uwierzy, że Godard był w cywilu proboszczem?

— Czemu nie?

— Pan jesteś człowiekiem sprawiedliwym — rzekł rozpogodzony Dratwa — i dlatego rozumiesz pan wszystko. Co do mnie, niechciało mi się to z początku pomieścić w głowie. A odkrycie moje zrobiłem w ten sposób: Godard miał zawsze nos wetknięty w jakąś książkę, która musiała być wściekle interesująca, skoro można było strzelać mu w uszy pociskami 420 lub mówić mu o wizycie kronpincza w przeciwległym okopie — a nie byłby nawet podniósł głowy. Mówiłem mu nieraz: „Tam muszą być morowe kawałki w tej twojej książeczce, Godard..." Uśmiechał się na to i odpowiadał: „Pożyczę ci, jak ją skończę". Tylko, że na nieszczęście, jak ją kończył, to zaczynał na nowo... Aż jednego dnia buchnąłem mu tę książkę. I zbaraniałem: to było po łacinie. Nigdy nie uczyłem się obcych języków, ale na tyle wykształcenia mam, żeby wiedzieć, że Pan Bóg najlepiej lubi, jak się z Nim rozmawia po łacinie. To też księża służą za tłumaczy w przedkładaniu Panu Bogu próśb ludzkich. Dlatego, kiedy pan słyszysz pieśni łacińskie, albo widzisz łacińskie książki, możesz być zupełnie pewny, że jedne i drugie zwracają się do Pana Boga.

Mimowoli wymówiłem imiona Wergiljusza i Horacjusza.

— Nie, to nie tak się nazywa — zaprzeczył Dratwa, potrząsając głową. — To się nazywa brewiarz. Otóż kiedy odkryłem zawód kaprala Godarda, wpadłem w wielkie zakłopotanie z powodu moich przekonań. Przez szacunek dla niego umiarkowałem swoje wyrażenia i w przekleństwach nie wzywałem już nadaremno imienia Boga, chyba Boga szwabskiego, co nie może obrażać naszego... przeciwnie — to musi Mu sprawiać przyjemność. Ale z drugiej strony przez szacunek dla moich przekonań nie przyjmowałem już od Godarda papierosów i powiedziałem mu, że nie lubię księży, na co on się roześmiał... Na tym zagonie buraków moje poglądy zmieniły się. Pociski waliły gradem. Co chwila kilku kolegów odjeżdżało...

— Dokąd? — zapytałem naiwnie.

— Właśnie, w tem sęk... Według moich dotychczasowych wolnomyślnych przekonań oni nie odjeżdżali nigdzie. Ale na tym zagonie buraczanym, gdzie miałem czas na rozmyślania, nabrałem pewności, że to niemożliwe, że to byłoby niesłuszne. Przecie ludzie, którzy giną w ten sposób, muszą iść gdzieś po nagrodę! Przecie nie mogą zniknąć zupełnie, zostawiając na miejscu skórę. Nie, tak nie może być.

— A więc, panie Bicard, na tym zagonie buraków uświadomiłeś pan sobie, że masz pan duszę?

— Zrozumiałem to zwłaszcza wtedy, kiedy widziałem, jak kapral Godard podnosił się na kolanach, ilekroć pocisk trafił jakiegoś kamrata, i jak go żegnał znakiem krzyża przed jego drogą. Pomyślałem sobie, że tam w górze musi być u jej celu jakiś sędzia... A przytem te psiakrewskie buraki, w które miałem wetknięty nos, dawały mi także do myślenia. Przyszło mi do głowy, że one tak same ze siebie nie wyrosły, pomimo tego wszystkiego, co opowiadał mój rolnik z prawej strony, którego wykład przerwał zresztą pocisk, urywając mu głowę... Wrzasnąłem więc do Godarda: „Panie kapral, ja się chcę wyspowiadać!" I uklękłem, ale Godard zbeształ mnie: „Położysz mi się w tej chwili, stary bęcwale?! Jak będziesz klęczał, to Szwaby nie pozwolą ci dojść aż do rozgrzeszenia... No, teraz możesz gadać". Ach, co ja tam wtedy Godardowi nie naopowiadałem! Ale i tak niemało zapomniałem. I kiedyś-tu ułożyliśmy z żoną kompletną listę moich grzechów, którą posłałem kapralowi, jako uzupełnienie spowiedzi na zagonie buraków. W każdym razie, to, co już wtedy mu powiedziałem, było obfite... A jak skończyłem, Godard rzekł: „Proś teraz Pana Boga o przebaczenie za winy, których się dopuściłeś". „Przebaczam z całego serca..." — odpowiedziałem. Dał mi rozgrzeszenie, poczem zdobyliśmy szwabski okop.

— Jednem słowem, panie Bicard, jeżeliś pan pomyślał o spełnieniu obowiązków religijnych, to ze strachu.

— Myli się pan — odparł Dratwa triumfalnie. — Najlepszy dowód, że po powrocie do Paryża poszedłem znowu się spowiadać do księdza cywilnego... dla przyjemności.

(D. c. n.).

WYDZIAŁ REJESTRU HANDLOWEGO

SĄDU OKRĘGOWEGO W ŁODZI

Do Rejestru Handlowego w Łodzi Działu A. i B. wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.

Nr. 10590/A. **„Nachman Olek i Spółka, Spółka komandytowa“.** Prowadzenie handlu wyrobami żelaznemi i blachą. Firma istnije od 20 września 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Północna 4. Właściciel Nachman Olek, Wschodnia 29. Spółka firmowo-komandytowa. Termin trwania spółki określony został do 1 października 1927 roku. Zarząd spółki należy wyłącznie do Nachmana Olka, który w imieniu spółki we wszelkich wypadkach podpisuje samodzielnie pod stemplem firmy. Na mocy intercyzy między wspólnikiem Olkiem i jego żoną ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku. Wspólniczką komandytową jest wdowa Cheweta Szatan z wkładem 4000 złotych.

Nr. 10591/A. **„Bolesław Krajewski i S-ka“.** Handel win i wódek. Firma istnieje od 1 lipca 1925 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Zielona 33. Właściciele: Zygmunt Frycze, Rzgowska 59 i Bolesław Krajewski, Wólczańska 62, obydwaj w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki trzyletni z automatycznem przedłużeniem. Zarząd należy do Zygmunta Frycze, który załatwia wszelkie czynności w imieniu spółki i posiada prawo samodzielnego podpisu. Intercyzy nie zawierali.

Nr. 10593/A. **„Otton Cymerman“.** Młyn automatyczny. Firma istnieje od 1 czerwca 1926 roku z siedzibą w Chojnach, gm. Chojny, st. Łódzkie. Właściciel Otton Cymerman w Chojnach, gm. Chojny, st. Łódzkie. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10594/A. **„Stanisław Wysocki“.** Warsztat stolarski Firma istnieje od 25 lipca 1926 roku z siedzibą w Łodzi, Szosa Pabjanicka 29. Właściciel Stanisław Wysocki, Szosa Pabjanicka 29 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10595/A. **„Edward Rejch“.** Ręczna cegielnia. Firma istnieje od 1 lipca 1926 r. z siedzibą w Gospodarzu, st. Łódzkie. Właściciel Edward Rejch, zam. w Gospodarzu, st. Łódzkie. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10596/A. **„Mieczysław Tabachowicz i S-ka“.** Zakład fryzjerski. Firma istnieje od 10 lutego 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Andrzeja 10. Właściciele: Mieczysław Tabachowicz, Andrzeja 10 i Marta Aleksandra Czeredniczenko, Ogrodowa 16, oboje w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki nieokreślony. Zarządzać wszelkiemi interesami i sprawami spółki będą oboje wspólnicy łącznie. Zobowiązań ani weksli firma nie wystawia. Intercyz wspólnicy nie zawierali.

Nr. 10597/A. **„Teofil Kubiak“.** Warsztat stolarski. Firma istnieje od 1 lipca 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Wólczańska 27. Właściciel Teofil Kubiak, zam. w Łodzi, przy ul. Wólczańskiej 27. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 10598/A. **„Leon Morawski“.** Młyn motorowy. Firma istnieje od 1 marca 1926 roku z siedzibą we wsi Gospodarz, pow. Łódzki. Właściciel Leon Morawski, w. Gospodarz, pow. Łódzki. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10599/A. **„Morduch Jeszczyn“.** Skład wyrobów włókienniczych. Firma istnieje od 1 października 1924 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska Nr. 105. Właściciel Morduch Jeszczyn, zam. w Łodzi, przy ul. Wólczańskiej 22. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 10600/A. **„J. Hendler i K. Baruch“.** Zarobkowa tkalnia mechaniczna. Firma istnieje od 1 października 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Pomorska 58. Właściciele: Józef Hendler, Zawadzka 30 i Klemens Baruch, Narutowicza 16, obydwaj w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki roczny. Wszelkie umowy, akty notarjalne i hipoteczne, zobowiązania, weksle i czeki podpisują obydwaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmowym. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między wspólnikiem Hendlerem i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku. Pozostały wspólnik intercyzy nie zawarł.

Nr. 10601/A. **„Cichowski i Birgel“.** Fabryka wyrobów pończoszniczych. Firma istnieje od 20 września 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Wschodnia 24. Właściciele: Władysław Cichowski, Zawadzka 44 i Juljusz Birgel, Kilińskiego 194, obydwaj w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużeniem. Wszelkiego rodzaju zobowiązania, weksle, żyra, przekazy, czeki, umowy i kontrakty notarjalne i prywatne w imieniu spółki podpisują obydwaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Plenipotencje sądowe, korespondencję, rachunki i pokwitowania podpisuje każdy ze wspólników oddzielnie, również każdy ze wspólników oddzielnie mocen będzie inkasować wszelkie należności, odbierać korespondencję, przekazy, przesyłki i pieniądze, reprezentować spółkę wobec władz i osób i prowadzić sprawy sądowe. Intercyzy nie zawierali.

Nr. 10602/A. **„Izrael Lichtensztajn“.** Handel drzewa budowlanego. Firma istnieje od 1 listopada 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Cegielniana 102. Właściciel Izrael Lichtensztajn, Piramowicza 9 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10603/A. **„Maurycy Librach“.** Tkalnia. Firma istnieje od 1919 roku z siedzibą w Zgierzu, Dąbrowskiego 17. Właściciel Maurycy Librach, przy ul. Żeromskiego 3 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10604/A. **„Oświata“, właściciel Aleksander Krauze“.** Handel przyborami szkolnemi. Firma istnieje od 1 stycznia 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Andrzeja 54. Właściciel Aleksander Krauze, Andrzeja 54 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10605/A. **„Zakłady Graficzne, Drukarnia Polska w Łodzi, Ludomir Mazurkiewicz i S-ka“.** Firma istnieje od 1 października 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Przejazd 19. Właściciele: Jan Ulejski, Kilińskiego 96, Marceli Szulec, Aleksandrowska 28 i Ludomir Mazurkiewicz, Andrzeja 45 w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki trzyletni z automatycznem trzechletniem przedłużaniem. Weksle, akcepty i żyra podpisują wszyscy trzej wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Prokury oraz wszelkie inne zobowiązania pieniężne, jak również odbiór premij asekuracyjnych podpisuje Mazurkiewicz łącznie z jednym z pozostałych wspólników pod stemplem firmy. Każdy ze wspólników będzie miał prawo w imieniu spółki zawierać umowy z klientami, odbierać korespondencję, wszelkie towary i pieniądze; reprezentować spółkę wobec władz i osób; prowadzić sprawy sądowe spółki i udzielać pełnomocnictw adwokackich. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między wspólnikiem Ulejskim i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku. Pozostali wspólnicy intercyz nie zawarli.

Nr. 10606/A. **„Albert Henzelman“.** Sprzedaż pieczywa. Firma istnieje od 1910 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Karolewska 14. Właściciel Albert Bertold Henzelman, Karolewska 14 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10607/A. **„Henoch Pacanowski“.** Tkalnia. Firma istnieje od 1 lipca 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Senatorska 25. Właściciel Henoch Pacanowski, Cegielniana 8 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10608/A. **„Józef Kopczyk i S-ka“.** Handel win i wódek. Firma istnieje od 30 września 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Rzgowska 137. Właściciele: Józef Kopczyk, Rzgowska 137 i Michał Andrejew, Rzgowska 32 obydwaj w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki określony został do dnia 1 stycznia 1929 r. z automatycznem rocznem przedłużeniem. Wszelkie umowy w imieniu spółki podpisywane będą przez obydwuch wspólników łącznie. Reprezentować spółkę wobec władz i osób ma prawo każdy ze wspólników; otrzymywanie wszelkich należnych spółce sum i innego majątku i prowadzenie spraw sądowych należy wyłącznie do Michała Andrejewa. Weksli i zobowiązań dłużnych spółka wystawiać nie będzie. Intercyz nie zawierali.

Nr. 10609/A. **„Wilhelm Wiezenberg“.** Fabryka trykotaży. Firma istnieje od 1 lipca 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Gdańska 66. Właściciel Wilhelm Wiesenberg, Gdańska 66 w Łodzi. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 10610/A. **„Hersz Dymant“.** Pończoszarnia Firma istnieje od 22 września 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Nowo-Cegielniana 3/5. Właściciel Hersz Michel Dymant, Północna 16 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10611/A. **„Sklep Ogrodowizny Kwaśniewski i Wiciński“.** Firma istnieje od 9 listopada 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 155. Właściciele: Tomasz Wiciński, wieś Chrósty Nowe, gm. Mikołajów, star. Brzezińskie i Jan Kwaśniewski, ul. Piotrkowska 155 w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki nieokreślony. Zarząd spółki stanowią obydwaj wspólnicy. Weksle, czeki, przekazy i wszelkiego rozdaju zobowiązania podpisują obydwaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Dokumenty nie mające charakteru zobowiązań podpisuje każdy ze wspólników samodzielnie. Wspólnik Wiciński ma prawo w imieniu spółki samodzielnie odbierać towary, pieniądze, wszelkie dokumenty, przekazy, przesyłki, listy pieniężne i wszelką korespondencję za swoim podpisem. Intercyz nie zawierali.

Nr. 10612/A. **„Stanisława Fonkiewicz“.** Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1920 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Zamenhofa 27. Właścicielka Stanisława Fonkiewicz, Zamenhofa 27 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 10613/A. **„Józef Szmaragd“.** Farbiarnia ręczna. Firma istnieje od roku 1922 z siedzibą w Łodzi, ul. Zachodnia 40. Właściciel Józef Szmaragd, Zachodnia 40 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10614/A. **„Łódzka Agencja Wydawniczo-Reklamowa, wł. Teodor Pingot“.** Firma istnieje od 1 stycznia 1924 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 85. Właściciel Teodor Pingot, Kilińskiego 41 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10615/A. **„Władysław Chłopicki“.** Młyn wodny. Firma istnieje od 1 lipca 1917 r. z siedzibą w Cedrowicach, gm. Leśmierz, star. Łęczyckie. Właściciel Władysław Chłopicki, Cedrowice, gm. Leśmierz, star. Łęczyckie. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10616/A. **„Estera Pesa Frenk“.** Drobna sprzedaż dodatków krawieckich. Firma istnieje od 1 kwietnia 1926 r. z siedzibą w Łodzi, Wólczańska 76. Właścicielka Estera Pesa Frenk w Łodzi, Wólczańska 76. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 10618/A. **„Witta Engel“.** Sprzedaż węgla, drzewa i mąki. Firma istnieje od 1 stycznia 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Rzgowska 121. Właścicielka Witta Engel, Rzgowska 76 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 10619/A. **„Bracia Michał i Izrael Pytowscy i Chaim Majer Rzesławski“.** Wyrób i sprzedaż materjałów włókienniczych. Firma istnieje od 1 stycznia 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 43 (sprzedaż) i fabryka w Bełchatowie. Właściciele: Michał Wiktor Pytowski, Łódź, Pomorska 52, Izrael Pytowski, Łódź, Piotrkowska 43 i Chaim Majer Rzesławski w Bełchatowie. Spółka firmowa. Termin trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużeniem. Zarządzać firmą będą wszyscy wspólnicy. Weksle własne podpisuje Rzesławski łącznie z jednym z pozostałych wspólników, cesje na wekslach — każdy samodzielnie pod stemplem firmowym. Każdy ze wspólników ma prawo podpisywać czeki, otrzymywac sumy pieniężne, podpisywać i odbierać korespondencję, prowadzić sprawy sądowe i udzielać pełnomocnictw sądowych. Na mocy aktu intercyzy ustaloną została między Izraelem Pytowskim i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku. Pozostali wspólnicy intercyz nie zawierali.

Nr. 10620/A. **„Benjamin Kohn“.** Drobna sprzedaż galanterji. Firma istnieje od 1 stycznia 1925 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Sieradzka 1. Właściciel Benjamin Kohn, Sieradzka 1 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10621/A. **„Henryk Hadrjan“.** Restauracja. Firma istnieje od 1906 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Karolewska 52. Właściciel Henryk Hadrjan, Karolewska 52 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10622/A. **„Robert Knajzler“.** Restauracja. Firma istnieje od 4 lipca 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 231. Właściciel Robert Knajzler, Piotrkowska 231 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10623/A. **„Szmul Herszson“.** Sprzedaż obrazów i wyrobów galanteryjno - skórzanych. Firma istnieje od 1 stycznia 1918 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 115. Właściciel Szmul Herszson, ul. Piotrkowska 115 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10624/A. **„Jakób Szlama Goldminc“.** Handel mąką. Firma istnieje od 31 sierpnia 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Aleksandryjska 2. Właściciel Jakób Szlama Goldminc, Południowa 42 w Łodzi. Na mocy decyzji Sądu Pokoju 7 okręgu w Łodzi z dnia 6 listopada 1926 r. Nr. 09/26 Jakób Szlama Goldminc został usamowolniony przez swego ojca Moszka Goldminca, który został mianowany kuratorem usamowolnionego. Na mocy aktu notarjusza S. Korna w Łodzi z dnia 12 listopada 1926 r. Nr. 1550 kurator Moszek Goldminc upoważnił Jakóba Szlamę Goldminca do trudnienia się handlem i przemysłem w swoim własnym imieniu. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10625/A. **„Anna Kowalewska“.** Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1912 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Andrzeja 60. Właścicielka Anna Kowalewska, Andrzeja 60 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 10626/A. **„Aleksandrowska Manufaktura“ w. Izaak Birger“.** Tkalnia mechaniczna Firma istnieje od 1 października 1926 r. z siedzibą w Aleksandrowie, Kościelna 62 i Łódź, Piotrkowska 83 (skład). Właściciel Izaak Birger, Al. I-go Maja 7 w Łodzi. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 10627/A. **„Józef Brzeziński“.** Drobna sprzedaż towarów bawełnianych i półwełnianych. Firma istnieje od 1 czerwca 1921 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Andrzeja 4. Właściciel Józef Brzeziński, Tylna 14 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10628/A. **„Josek Izbicki“.** Sprzedaż wyrobów blaszanych i stalowych. Firma istnieje od 1 stycznia 1923 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Ogrodowa 10. Właściciel Josek Izbicki, Lipowa 27 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10629/A. **„Stanisława Kozerska“.** Sklep kolonjalno - spożywczy. Firma istnieje od 1 lipca 1921 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Bankowa 15. Właścicielka Stanisława Kozerska, Bankowa 15 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 736/B. **„Ultrasavon“** Spółka Handlowo-Przemysłowa z ograniczoną odpowiedzialnością“. Handel produktami naftowemi i olejami oraz przeróbka takowych. Siedzibą spółki jest Łódź, ul. Piotrkowska 99. Kapitał zakładowy całkowicie wpłacony wynosi 6,000 złotych, podzielony na 12 udziałów po 500 złotych każdy. Zarząd stanowią wspólnicy: Wacław Drozdowski, Łódź, Piotrkowska 99, Marjan Kruszyński, Warszawa, Piękna 3 i Bogdan Goławski, Warszawa, Szopena 17. Wszelkiego rodzaju umowy i kontrakty na dostawę produktów naftowych i olei mineralnych tudzież umowy i kontrakty dotyczące sprzedaży i zakupu tychże artykułów podpisuje Marjan Kruszyński samodzielnie, albo dwaj pozostali wspólnicy łącznie. Wszelkiego rodzaju akty notar. i hipoteczne, dotyczące zbycia, nabycia i obciążenia nieruchomości i praw hipotecznych, prokury, weksle, żyra, czeki oraz wszelkiego rodzaju zobowiązania podpisuje dwóch którychkolwiek członków zarządu łącznie. Pozostałe czynności spółki ma prawo wykonywać samodzielnie Drozdowski lub Kruszyński. Na wszelkiego rodzaju pismach i dokumentach, z wyjątkiem aktów notarjalnych, wspólnicy podpisują pod stemplem firmy. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki zeznany został przed notarjuszem m. Łodzi K. Rossmanem z dnia 19 maja 1926 r. Nr. rep. 1451. Termin trwania spółki trzyletni z automatycznem trzyletniem przedłużeniem.

Nr. 737/B. „Polsko - Amerykańskie Towarzystwo Pralni Parowo - Mechanicznej „Kometa“, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“. Siedzibą spółki jest Łódź, ul. Nawrot 84. Kapitał zakładowy całkowicie wpłacony, wynosi 15000 złotych, podzielony na 300 udziałów po 50 zł. udział. Kapitał wniesiony został w urządzeniu pralni. Zarząd stanowią: Kazimierz Nazdrowicz i Bolesław Graliński, obydwaj zamieszkali Nawrot 84 w Łodzi. Wszelkie zobowiązania, weksle, czeki, żyra i wszelkiego rodzaju umowy i dokumenty podpisują obydwaj zarządcy łącznie pod stemplem firmy. Każdy z członków zarządu ma prawo w imieniu spółki samodzielnie: inkasować należność, załatwiać wszelkie sprawy we wszystkich urzędach państwowych i komunalnych, prowadzić wszelkie sprawy sądowe z prawem substytucji, odbierać korespondencję i przesyłki. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki zeznany został przed notarjuszem m. Łodzi L. Kahlem 15 września 1926 r. Termin trwania spółki dwuletni z automatycznem przedłużeniem.

Nr. 738/B. **„Zjednoczeni Mechanicy Młynarscy—spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“.** Celem spółki jest budowa i sprzedaż maszyn młyńskich oraz wykonywanie wszelkich robót wchodzących w zakres młynobudownictwa. Siedzibą spółki jest Łódź, Kaliska 19. Kapitał zakładowy wynosi 2,100 złotych podzielonych na 21 udział po 100 złotych każdy, całkowicie wpłaconych. Zarząd stanowią: Jan Zastawny, Wiktor Winkszno, obydwaj Słowiańska 15 i Władysław Stolarski, Lipowa 33 wszyscy w Łodzi. Każdy z członków zarządu będzie miał prawo w imieniu spółki samodzielnie podpisywać korespondencję, rachunki i wszelkie dokumenty nie mające charakteru zobowiązań pieniężnych; otrzymywać wszelkie należne sumy z wyjątkiem kapitałów ulokowanych w instytucjach finansowych; korespondencję, przekazy, przesyłki i ładunki; reprezentować spółkę u władz i prowadzić wszelkie sprawy sądowe spółki. Weksle zaś akcepty, żyra, kontrakty, umowy, czeki, pełnomocnictwa i wszelkie wogóle zobowiązania pieniężne podpisuje dwuch członków zarządu łącznie pod stemplem firmy. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki zeznany został przed notarjuszem m. Łodzi St. Jarzębskim dnia 20 września 1926 r. Nr. rep. 5517. Termin trwania spółki określony został do dnia 1 stycznia 1928 r. z automatycznem rocznem przedłużeniem.

Nr. 739/B. „Laboratorjum Chemiczno - Kosmetyczne „**Lime**“ spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“. Siedzibą spółki jest Łódź, ul. Południowa 23. Kapitał zakładowy całkowicie wpłacony wynosi 7,000 zł. podzielony na 70 udziałów po 100 złotych każdy. Zarząd stanowią wspólnicy: Emil Endweis, Przejazd 36, Adam Szykier, Sienkiewicza 52, Boruch Hurwicz, Zamenhofa 6 i Abram Kalfeman, ul. Zawadzka 22 wszyscy w Łodzi. Wszelkiego rodzaju zobowiązania, czeki, przekazy, żyra i weksle oraz wszelkiego rodzaju umowy i akty w imieniu firmy wydawane i zawierane przez dwóch zarządców łącznie pod stemplem firmy. Każdy z zarządców ma prawo samodzielnie inkasować należności, otrzymywać korespondencję i prowadzić wszelkie sprawy sądowe. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki zeznany został przed notarjuszem m. Łodzi L. Kahlem z dnia 11 września 1925 r. Nr. rep. 16943. Termin trwania spółki pięcioletni z automatycznem przedłużeniem.

Nr. 10630/A. **„Polska Konkurencja Włókiennicza“ wł. Estera Zajde“.** Drobna sprzedaż resztek manufakturowych bawełnianych. Firma istnieje od 23 listopada 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Południowa 38. Właścicielka Estera Łaja Zajde, Południowa 38 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 10631/A. **„Zofja Bogusławska“.** Drobna sprzedaż materjałów piśmiennych. Firma istnieje od 1 czerwca 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Kopernika 26. Właścicielka Zofja Bogusławska, Łąkowa 28 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 10632/A. **„Szlama Frenk“.** Drobna sprzedaż dodatków krawieckich. Firma istnieje od 1-go stycznia 1920 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Ogrodowa 1. Właściciel Szlama Kiwa Frenk, Wólczańska 76 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10633/A. **„Karol Barczyński“.** Piwiarnia. Firma istnieje od 1 stycznia 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Kopernika 57. Właściciel Karol Barczyński, Radwańska 7 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10634/A. **„Berta Andrysiak“.** Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1924 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Piastowska 15. Właścicielka Berta Andrysiak, Piastowska 15 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 10635/A. **„Szmul Jakubowicz“.** Sprzedaż żelaza i farb. Firma istnieje od 1 stycznia 1896 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Rzgowska 61. Właściciel Szmul Szaja Jakubowicz, Rzgowska 6 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

OGŁOSZENIE Nr. 3.

Do Rejestru Handlowego w Łodzi działu A i B wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 10719/A. **„Moszek Werdyger“.** Detaliczna sprzedaż syropu kartoflanego. Firma istnieje od 1 lipca 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Ogrodowa 5. Właściciel Moszek Werdyger, Konstantynowska 19 w Łodzi. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 10720/A. **„Roman Dziewięcki“.** Sprzedaż perfumerji. Firma istnieje od 1 lipca 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 200. Właściciel Roman Dziewięcki, Zawadzka 12 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10721/A. **„Efroim Lajzer Kenig“.** Sprzedaż żelaza. Firma istnieje od 1896 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Pańska 32. Właściciel Efroim Lajzer Kenig, Narutowicza 4 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10722/A. **„Władysław Opatowski, wł. Wolf Opatowski“.** Drobna sprzedaż futer. Firma istnieje od 1 stycznia 1920 roku z siedzibą w Łodzi, ulica Piotrkowska 41. Właściciel Wolf (Władysław) Opatowski, Cegielniana 56 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 10723/A. „J. M. Szedrowicz". Skład naczyń aptecznych. Firma istnieje od 1913 r. z siedzibą w Warszawie, Zimna 6, Oddział w Łodzi, Al. Kościuszki 43. Właściciel Icek Majer Szedrowicz z Warszawy, Nowogrodzka 46. Izaakowi Szapiro w Łodzi, Andrzeja 7 udzielono prokury dla oddziału w Łodzi z prawem samodzielnego podpisywania za ten oddział. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 10724/A. „Ryfka Friede". Pończoszarnia zarobkowa. Firma istnieje od 11 sierpnia 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Kilińskiego 130. Właścicielka Ryfka Friede, Nowa 10 w Kaliszu. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielką firmy i jej mężem wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 10726/A. „Polska Wytwórnia Jedwabnych Tkanin, Polwit, Aron Warhaft, Maurycy Bergman i Jakób Grynberg". Firma istnieje od 5 lipca 1926 r. z siedzibą w Łodzi, ul. Narutowicza 3. Właściciele: Aron Warhaft, Narutowicza 24, Maurycy Bergman, Gdańska 68 i Jakób Grynberg, Leszno 52 w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki określony został do 31 grudnia 1927 roku z automatycznem dwuletniem przedłużeniem. Wszelkie zobowiązania i weksle podpisują wspólnicy Grynberg i Warhaft łącznie, natomiast żyra i inne dokumenty podpisuje każdy z wyżej wymienionych samodzielnie — zawsze pod stemplem firmy. Na mocy intercyzy ustalona została między wspólnikami Warhaftem i Bergmanem a ich małżonkami wyłączność majątku i wspólność dorobku. Wspólnik Grynberg intercyzy nie zawarł.

Nr. 10727/A. „Fabryka włókienniczych towarów Hugo Appelt, A. Warhaft i S-ka". Firma istnieje od 20-9. 1926 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Narutowicza 3. Właściciele: Aron Warhaft, Narutowicza Nr. 24, Maurycy Bergman, Gdańska 69 i Hugo Appelt, Brajera 8, wszyscy w Łodzi. Spółka firmowa. Termin trwania spółki określony do 1 stycznia 1929 roku z automatycznem przedłużeniem dwuletniem z jednego dwulecia na drugie dopóki nie nastąpi notarjalne wymówienie któregokolwiek ze wspólników. Wszelkie zobowiązania i weksle podpisują Appelt i Warhaft łącznie. Żyra natomiast podpisuje każdy z wyżej wymienionych samodzielnie — pod stemplem firmy, jak również korespondencję i odbiór sum pieniężnych. Na mocy intercyzy ustalona została między wspólnikami Bergmanem i Warhaftem a ich małżonkami wyłączność majątku i wspólność dorobku. Appelt intercyzy nie zawarł.

Nr. 10728/A. Polska Samopomoc Włókiennicza w Łodzi, wł. Stanisław Nower". Drobna sprzedaż towarów bławatnych. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Gdańska 11. Właściciel Stanisław Nower, Piotrkowska 145 w Łodzi. Na mocy intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 10729/A. „Dawid Rubinstein i S-ka". Przedsiębiorstwo ekspedycyjne. Firma istnieje od 1-go stycznia 1927 roku z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 85. Właściciele: Dawid Rubinstein, Piotrkowska 182 w Łodzi i Hayman Singer, Kozia 21 w Poznaniu. Spółka firmowa. Termin trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem z jednego okresu rocznego na drugi dopóki nie nastąpi notarjalne wymówienie któregokolwiek ze wspólników. Zarząd stanowią obydwaj wspólnicy. Własne weksle, czeki, przekazy, żyra i wszelkiego rodzaju zobowiązania podpisują obydwaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Korespondencję, podania do władz, pełnomocnictwa adwokackie i wszelkiego rodzaju dokumenty nie mające charakteru zobowiązań podpisuje każdy samodzielnie, również każdy ze wspólników samodzielnie ma prawo odbierać towary, pieniądze, inne należności, przekazy, przesyłki i korespondencje, oraz prowadzić sprawy sądowe. Intercyzy nie zawierali.

Kasa chorych m. Łodzi.

Wobec powtarzających się wypadków nieprzestrzegania przez pp. pracodawców obowiązku wymeldowywania osób ubezpieczonych na wypadek choroby w sposób i terminie przewidzianym w art. 15 ust. I i II Ustawy z dnia 19 maja 1920 roku

KASA CHORYCH m. ŁODZI

ponownie przypomina, że ubezpieczenie na wypadek choroby trwa aż do dnia zawiadomienia — na przepisowym formularzu — Kasy Chorych o rozwiązaniu stosunku służbowego względnie roboczego między pracodawcą a ubezpieczonym oraz, że na mocy art. 51 Ustawy z dnia 19 maja 1920 roku (Dz. U. R. P. Nr. 44 poz. 272) **składki za ubezpieczonych obliczane są do dnia, w którym zawiadomienie o wystąpieniu z pracy uskuteczniono zostało bez względu na dzień faktycznego jej zaprzestania.**

Zawiadomienia o wystąpieniu z pracy przyjmowane są tylko w Centrali Kasy Chorych przy ul. Wólczańskiej 225 (Wydział Ewidencji Ubezpieczonych) w godzinach urzędowych od 8-ej rano do 3-ej po południu.

Wydawane przez Kasę potwierdzenia odbioru zawiadomień o wystąpieniu z pracy winny być przechowywane jako dowód dopełnienia obowiązku wymeldowania.

Kasa Chorych m. Łodzi.

KASA CHORYCH m. ŁODZI.

Zarząd Kasy Chorych ogłasza niniejszem

KONKURS

na stanowisko naczelnego lekarza Kasy Chorych m. Łodzi.

Od kandydatów, ubiegających się o to stanowisko, wymagane są następujące warunki:

1) obywatelstwo polskie,
2) prawo praktyki lekarskiej w Polsce,
3) wszechstronne wykształcenie lekarskie tak teoretyczne jak i praktyczne oraz własne doświadczenie administracyjne ze szczególnem uwzględnieniem pracy w Kasach Chorych
4) własnoręcznie napisane „curriculum vitae".
5) odpisy świadectw z dotychczasowej pracy zawodowej.

Zaznacza się, że pierwszeństwo będzie przysługiwało kandydatom w sile wieku.

Wysokość wynagrodzenia zostanie ustalona drogą specjalnej umowy, nie będzie wszakże niższa od 1,250 zł. miesięcznie.

Warunki: 6 godzin pracy dziennie, jak również udział w posiedzeniach Zarządu i Komisyj bez specjalnego wynagrodzenia.

Oferty należy składać do dnia 15 marca 1927 r. do Zarządu Kasy Chorych m. Łodzi, ul. Wólczańska № 225.

Szczegółowych informacyj udzieli Zarząd Kasy Chorych m. Łodzi.

(—) F. Kałużyński, Przewodniczący Zarządu.

32

Redakcja i administracja w Łodzi, ul. Piotrkowska 85, tel. 45-50
Oddział redakcji i administracji w Warszawie, Wilcza 16, tel. 305-07
„ „ „ w Poznaniu, Skarbowa 7, tel. 28-58

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 gr. za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 gr. za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 gr. za wyraz. Ogłoszenia w „Źródle Zakupu" 3 zł. za 2 wiersze, każdy następny wiersz 1 zł.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina*

Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 159927